



Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



MICHALINA WOŹNIAKÓWNA

RAVENSBRÜCK

MOJE WSPOMNIENIA
OBOZOWE



NAKŁADEM ZWIĄZKU BYŁYCH WIĘŹNIÓW POLITYCZNYCH
W POZNANIU



MICHALINA WOŹNIAKÓWNA

RAVENSBRÜCK

MOJE WSPOMNIENIA
OBOZOWE

1941

NAKŁADEM ZWIĄZKU BYŁYCH WIĘZNIÓW POLITYCZNYCH
W POZNANIU

MICHALINA WOŹNIAKÓWNA

OBÓZ
KONCENTRACYJNY
DLA KOBIET
RAVENSBRÜCK

BIBLIOTEKA

Wyższej Szkoły Polit.-Wych.

POZNAŃ 1946

NAKŁADEM ZWIĄZKU B. WIĘZNIÓW POLITYCZNYCH W POZNANIU

3242: 92

5877/
1

BIBLIOTEKA
Wyższej Szkoły Politycznej - WPSA



L. inv. 5109

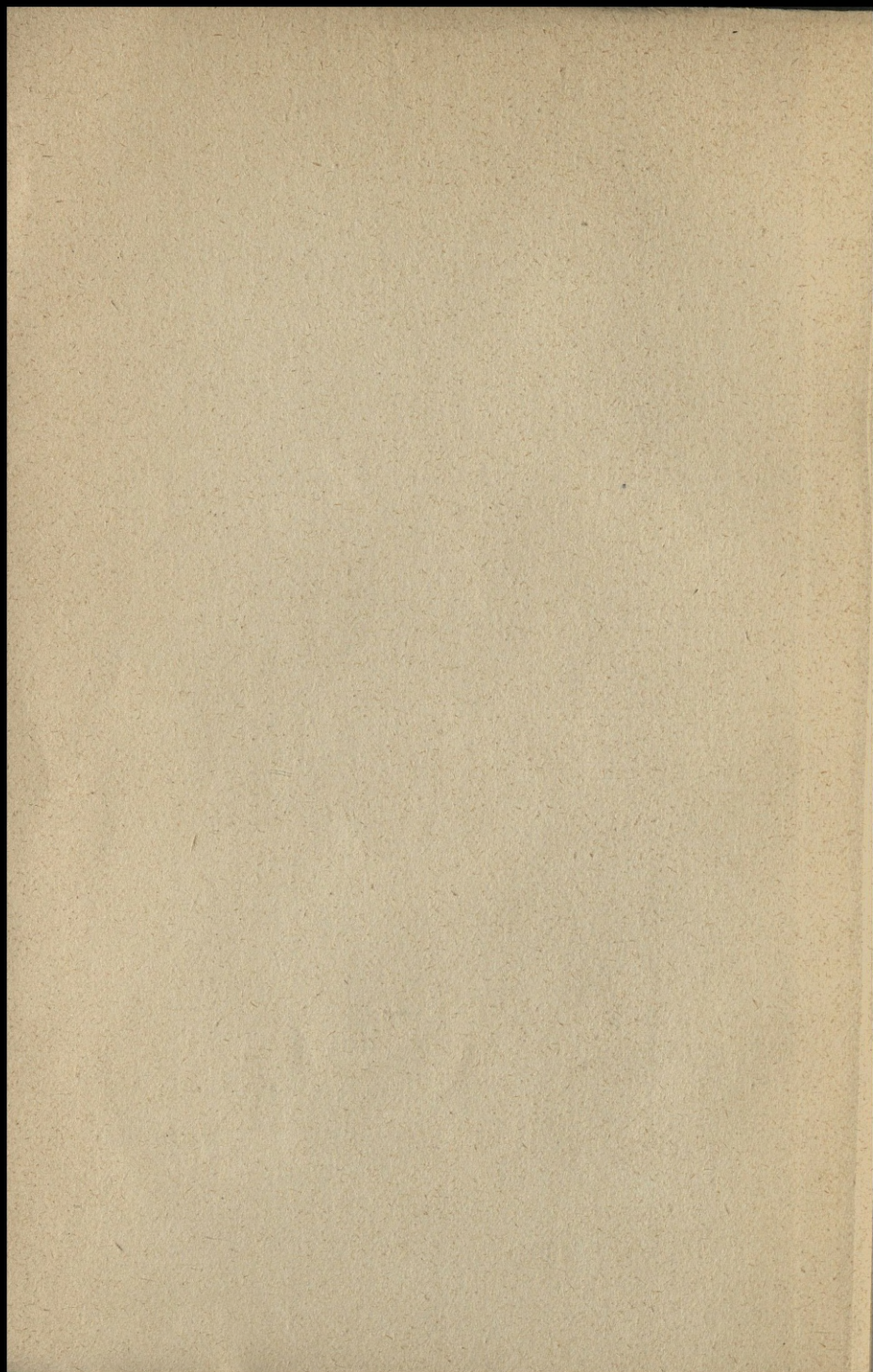
1813 - IV. 46. 10000 - K 5152

Wydruk w Drukarni św. Wojciecha pod Zarządem Państwowym w Poznaniu.

Współwięźniarce

Wandzie Urbańskiej

pracę tę poświęcam



Ravensbrück

Pociąg leniwie wjeżdżał na małą stacyjkę. Koła obracały się ciężko, powoli, jak gdyby chciały odwlec moment, w którym setki kobiet pochłonie ciemna i nieznana przepaść obozu koncentracyjnego. Dzień był piękny, słoneczny i ciepły. Był to przecież maj 42 roku. Pociąg zatrzymał się wreszcie. Z wagonów zaczęły wysiadać niezliczone ilości kobiet. Twarze kamienne, nieugięte, głowy podniesione w górę z jakąś niesłychaną pogardą dla śmierci. Tylko oczy niejednej biegły do zamkniętych niebios szukając w nich Boga, a usta poruszały się jakąś nieznaną modlitwą i drżącym nieśmiałym pytaniem: co teraz będzie z nami, gdzie nas powloką? Inna, w ślad za Chrystusem modliła się z pokorą i ufnością: Boże, odwróć ode mnie ten kielich goryczy — a jeśli go muszę spełnić do dna, daj mi siłę, bym wytrzymała, bym nie upadła, daj, abym mogła być godną córką mojej skrzywdzonej lecz wielkiej Ojczyzny. Słońce zaglądało w umęczone, smutne twarze kobiet, niosąc jakąś dziwną ulgę i spokój. Wsiadaliśmy wszystkie. Wyrzucone z wagonów na mały plac stacyjny czekałyśmy dalszego przeznaczenia. Zbite w jedną gromadę patrzyłyśmy z żalem na pociąg,

który zakołysał się lekko i odszedł, uwożąc z sobą nasze najdroższe sny o wolności.

Szybko zostałyśmy wyrwane ze smutku i melancholii, z marzeń o odjeżdżającym pociągu. Przywołano nas do rzeczywistości tak strasznej, że natychmiast serca ściśnięte trwogą rozluźniły się. Trwoga ustąpiła miejsca nienawiści, smutek — pogardzie. Marzenia znów przysły ustępując miejsca mocnemu postanowieniu walki ze straszną rzeczywistością niemieckiego okrucieństwa i barbarzyństwa. Walki straszliwej, świadomej, nienawistnej, aż do ostatniego tchu, do ostatniej kropli krwi, zębami i pazurami, sercem i rozumem, myślą i czynem.

Zostałyśmy otoczone przez kobiety niemieckie w mundurach SS. Były to kobiety specjalnie przeznaczone do pilnowania nas i dręczenia. Były one zaopatrzone w rewolwery i w psy. Psy były duże, wilki, tresowane i mądre. Zaczął się pierwszy etap naszej Golgoty. Kazano nam ustawiać się po pięć. Była to okazja do popychania nas, bicia, puszczenia na nas psów, które gryzły w nogi, szarpały ubranie, szczekając okropnie, robiąc nieprawdopodobny hałas. Jedna z niemieckich kobiet w mundurze SS, (kobiety te nazywały się „aufseherin”. Nazwa ta w obozie została przez nas uproszczona. Nazywałyśmy je „aufzjerki”) tak zwana „aufzjerka” miała szczególne zdolności do znęcania się nad nami. Była bardzo ładna i niemniej okrutna. Specjalnie lubiła szczypać, dlatego nazywano ją „szczypawka”. Teraz, kiedy ustawiałyśmy się po pięć, „szczypawka” dochodziła do którejkolwiek z nas i pokazując jej miejsce, gdzie ma stanąć, chwyciła

ją za rękę powyżej łokcia. Twarz jej wykrzywiała się okropnie, a palce wpijały się coraz głębiej w rękę ofiary. Prowadziła ją tak na miejsce, doprowadzana często do głuchej wściekłości obojętnością i spokojem ofiary. Nie było żadnego odruchu buntu przeciw jej postępowaniu, żadnego znaku bólu — nic. Była tylko do góry podniesiona głowa, z której jak dwie latarnie spoglądały oczy pełne dumy i pogardy. To ją, tak jak wszystkich Niemców, doprowadzało do szału i wściekłości. Nasza postawa, duma i pogarda stworzyły mur nie do przebiccia, o który rozbijały się wszystkie ich groźby i okrutne eksperymenty, mur — wobec którego oni sami czuli się podli i upokorzeni. Właśnie ich celem było w nas to złamać. Złamać tę siłę, którą myśmy czerpały ze źródeł dla nich niedostępnych. Złamać w nas poczucie honoru, poczucie miłości i wielkiego przywiązania do Ojczyzny. Zobaczyć raz jeden w oczach naszych lęk i przerażenie, usłyszeć prośbę o litość. Nadęci pychą Prusacy tak bardzo chcieli choć raz zobaczyć dumne karki kobiet polskich zgięte pokorą, pełzające w pyłe niemieckiej ziemi i z poddaniem przyjmujące powróż niemieckiej niewoli. Tymczasem spotykali się z czym innym. Kark miast zginać się i pochylać — prostował się i prężył, a głowa wzniesiona wysoko, stamtąd czerpała pociechę i siłę do przetrwania. Dlatego i teraz „szczypawka” przez zaciśnięte złością zęby wyrzucała z siebie przekleństwa i obelgi pod naszym adresem: „Przeklęte polskie świnię, przeklęta polska banda” itp., a na zakończenie, z jakąś specjalną nienawiścią i złością

doдаwała: „przekłeta polska inteligencja — czekajcie, już my wam pokażemy organizacje, my was nauczymy, że wam się odechce marzeń o Wolnej i Niepodległej Polsce”. Słowom tym towarzyszyło uderzenie w twarz jednej i drugiej, kopnięcie którejś stojącej z brzegu tak, że biedna ofiara stoczyła się do rowu, z którego ją za włosy wywlekano i stawiano na poprzednie miejsce. Po tym wstępnym poznaniu nas z ich metodami, patrzyli na nas, szukając wrażenia w naszych twarzach. Nie znaleźli tego, co chcieli znaleźć. Znowu ta siła, której oni podświadomie, a może nawet świadomie bali się. Zdawali sobie dokładnie sprawę, że dla prawdy i kłamstwa nie ma miejsca na jednym polu, tak jak go nie ma dla światła i ciemności. Wiedzieli dobrze, że jedno musi ustąpić: Prawda przed kłamstwem, albo kłamstwo przed Prawdą. Wiedzieli również, że zwycięży to, co jest większe i silniejsze — że zwycięży Prawda! Za rok, czy za sto, a nawet za tysiąc, ale zwycięży. Stąd cała ich nienawiść do nas. Zdawali sobie bowiem sprawę zupełnie dokładnie, że właśnie my jesteśmy pochodniami tej Prawdy, przed którą musi ustąpić ich Kłamstwo i Ciemnota. Dlatego patrzyli na nas z nienawiścią, z góry już przewidując własną klęskę. Z twarzy naszych czytali oprócz pogardy współczucie dla siebie. Oczy każdej z nas mówiły im: „Jakże biedna jesteś, kobieto niemiecka, którą tylko ludzie zaopatrzyli w mundur, w rewolwer i w psa, ale Bóg nie zaopatrzył w nic, nie dał ci serca i rozumu. O wiele bogatsza byłabyś, umiając władać sercem i rozumem, miast władać re-

wolwérem i psem. Jakże biedna jesteś, kobieto niemiecka, której nie uczono Miłości, tylko nienawiści, jakże bogatą byłabyś, umiając kochać. Jaką wartość społeczeństwu wniesie twoje dziecko, które z ciebie czerpać będzie samą nienawiść i zbrodnie? Czy będziesz miała odwagę wydać na świat zwierzę takie same jakim ty jesteś? Czy w momencie rodzenia nie przypomną ci się łzy tysięcy męczonych przez ciebie kobiet? Och, zbrodniarko niemiecka, jeśli dziecko twoje ma być takie jak ty, to lepiej nie pozwól mu dorosnąć. Strąć go z jakiej góry w przepaść, żeby śladu nie było takiego istnienia. Tam wiatr mu zaśpiewa swoją kołysankę, dzikie orły nauczą lotów podniebnych, słońce nauczy Miłości.

Ustawione po pięć szłyśmy popychane i bite do obozu. Droga zdawała się nieskończenie długa i męcząca. Słońce krwawiło już zachodem i kładło się dużą, ciężką plamą na piachu, po którym szłyśmy, prześwietlało drzewa, które nas mijały i przesyłało nam ostatni, smutny uśmiech pożegnania. O słońce, jakże zazdrościłyśmy ci wtedy twojej bezpiecznej, królewskiej swobody i wolności.

Doszłyśmy wreszcie do miejsca przeznaczenia. Na rozkaz „stać”, zatrzymałyśmy się wszystkie. Otwarto przed nami ciężką, żelazną bramę, która powoli zaczęła wchłaniać szeregi kobiet. Pięć... dziesięć... piętnaście... sto... dwieście... trzysta... Zgrzyt zamykanej bramy i znowu cisza, w której tylko słyszeć niespokojny łomot serc, jak dzwony bijące na trwogę, cisza, w której myśli się mącą nieprzytomnie, nie wiedząc, co będzie dalej. Stałyśmy na

dużym placu i nieznacznie, ostrożnie rozglądałyśmy się, badając teren naszego pobytu. Był to duży szmat ziemi, otoczony grubym murem wysokim do 3 metrów, nad którym sterczał jeszcze kolczasty drut o wysokim napięciu. Po dwóch stronach placu wzdłuż, stały rzędy małych, drewnianych domków, które nazywano „blokami“, w których mieszkaly więźniarki obozu koncentracyjnego. Zaczęły się schodzić różne „wysokie“ osobistości, władcy „życia i śmierci“. Oglądali nas od góry do dołu i znowu od dołu do góry, uśmiechali się przy tym ironicznie i złośliwie. Byli to: komendant obozu, jego adiutant, oberaufzeherin, którą nazywałyśmy „obeyrynką“ i jej zastępczyni. Nagle nasza uwaga została zwrócona w innym kierunku. Od strony biura obozu szła w naszą stronę młoda kobieta z jakimiś papierami w ręku. Oglądałyśmy to „cudo“ ubrane w więzienny strój, w białą chusteczkę na głowie i od razu zbudziła się w nas jakaś niechęć do niej. Kiedy podeszła do nas zupełnie blisko, spostrzegłyśmy jednak, że daje nam jakieś niezrozumiałe znaki i, że jest pilnie obserwowana przez aufzjerki. Domyśliłyśmy się, że chce nam coś powiedzieć, ale nie może, gdyż jest pilnowana. Zauważyłyśmy również, że na lewym rękawie jej ubrania przyszyty jest numer, którymi znaczeni byli wszyscy więźniowie obozów koncentracyjnych, a nad numerem czerwony trójkąt, na którym była litera „P“. Odetchnęłyśmy z ulgą: a więc jest to Polka. Dziewczyna szła wolno wzdłuż naszych szeregów i od czasu do czasu, korzystając z chwilowej nieuwagi aufzjerek, rzucała nam krótkie urywane

słowa, uwagi, ostrzeżenia. Mówiła sprytnie, nie otwierając przy tym prawie wcale ust, twarz jej była obca, obojętna, oczy odpychające, złe. Nie zdawała sobie pewnie wtedy sprawy, jak chciwie chłonęliśmy w siebie każde jej słowo, jak kochane były dla nas jej odpychające, złe oczy, rozbiegane na wszystkie strony, czujne i uważne, jak drogie nam były jej usta, nie otwierające się prawie, a wyrzucające z siebie co chwilę uwagę czy ostrzeżenie: „Nie patrzcie na mnie, jak do was mówię, żeby nie zwrócić uwagi aufzjerki“, „wyrzucicie wszystko co macie drogocennego i wdepczcie w ziemię“, „zjedzcie co macie, bo wam wszystko zabiorą“, „papierosy zniszczcie, połamcie i wyrzucicie“, „wezmą was do kąpielowego, rozbiorą was do naga i wszystko wam zabiorą“, „uważajcie, żeby jakaś aufzjerka nie zobaczyła tego, co robicie i ani słowa o tym, że do was mówiłam“.

Nie wiedziałyśmy wówczas, jaką funkcję pełni tu ta Polka, dopiero później dowiedziałyśmy się, że pracuje ona w biurze obozu, które nazywało się „politische Abteilung“. Były tam akta nas wszystkich z całymi referatami naszych spraw i z wyrokami. Wyrok był zawsze krótki i niezmienny: Śmierć! Ale śmierć nie natychmiastowa, nie od razu — nie. Kobiety są przecież młode, zdrowe, silne. Trzeba je wykorzystać, wyekspluatować, zużyć do najcięższych prac, a dopiero później — zabić!

Nareszcie skończyło się oglądanie nas ze wszystkich stron i zaczęto wywoływać nas po nazwisku z listy, którą przyniosła z sobą Polka pracująca w biurze. Ustawiano nas w jakieś dziwne grupy

większe i mniejsze tak, że nie mogliśmy się zorientować, czym oni się kierują grupując nas po kilka lub kilkanaście. Nie byliśmy ustawiane ani według alfabetu, ani według spraw, ani według wieku. Widocznie robili tak, żeby było trudniej zgadnąć. Skupione w małe grupy, czekałyśmy dalszego losu. Następnie grupami wchodziłyśmy do dużego pokoju, w którym zostałyśmy jeszcze raz spisywane: imię, nazwisko, data urodzenia, imię ojca, imię matki, zawód, wykształcenie itp. Po załatwieniu tych formalności zostałyśmy kolejno wprowadzane do „Badenu”. Była to duża łazienka o kilkadziesiąt przysznich. To, co spotkało nas w tym „kąpielowym” dziś jeszcze przejmuję mnie grozą i ohydny wstrętem. Musiałyśmy się wszystkie prędko rozebrać do naga. Bite i popychane bez przerwy przez Niemki, przynaglane do pośpiechu, w kilku sekundach stałyśmy nago, przerażone, bezsilne, szukające w własnych twarzach nawzajem ratunku. Na rozkaz stanęłyśmy kolejno jedna za drugą, drżące, nieprzytomne, z jakimś bolesnym wstydem w duszy, ze spuszczonej oczami, wpijając kurczowo palce w własne ciało i myśląc jedno bez przerwy: „Boże, daj przetrwać i to, daj siłę bym nie upadła, daj bym nie stała się takim zwierzęciem jak te Niemki, na które chciałabym rzucić się, za gardło chwycić i wepchnąć z powrotem w ten plugawy pysk wszystkie obelgi rzucane na nas. Daj, niech mężnie zniosę i ten policzek, który przecież nie hańbi mnie, tylko naród niemiecki”. I wówczas, kiedy zdawało się, że to, co się dzieje w tej chwili, jest nie do zniesienia, że każda z nas jest bliska

załamania, usłyszałyśmy głos do szeptu podobny, ale twardy, mocny, głos, pod wpływem którego głowy zaczęły się podnosić, plecy prostować, serca zaczęły na nowo żyć. Kropla po kropli zaczęły przedostawać się do naszej świadomości słowa proste, silne, prawdziwe. Odwaga na nowo wstąpiła w umęczone twarze, serca podniosły się w górę, oczy patrzyły śmiało przed siebie. Wszystko to sprawiły słowa proste, poważne, spokojne: „Czemu opuszczacie głowy i oczy wasze pełzają po ziemi, miast wznosić się wysoko i dumnie? Wstydzicie się — czego? Niech wstydzą się ci pruscy zbrodniarze, którzy tak, jak swój kraj, chcą i nas obedrzeć z Boga i Piękna. My, możemy być tylko dumne z tego, że los wybrał nas do walki z ich okrucieństwem i barbarzyństwem. Gdzie znajdziecie siłę do tej walki, jeśli już dziś opuszczacie głowę i trwoga, ból i wstyd wstępuje w serca wasze?”

Nagle nastąpiło jakieś poruszenie. Ktoś próbował uciszyć mówiącą, ze wszystkich stron rozlegały się głosy uciszające — cisz... pst... za-pó-żno! Czyjeś szybkie kroki — przekleństwa — krzyk — i znowu wielka cisza. Tylko na posadzce plama krwi i strzęp ludzkiego nagiego ciała. I głowa, srebrna głowa, dookoła której rozrzucone białe włosy tworzyły aureolę sprawiając wrażenie, że ten strzęp ludzkiego ciała zbitego na śmierć przez dziewczkę niemiecką, jest święty. Czyż nie zginęła jak męczennica za Ojczyznę, za prawo ducha i myśli polskiej, za to, że była Polką i z godnością niosła przed sobą Sztandar swojej Ojczyzny? Za kilka słów pociechy rzuconych swoim rodaczkom, zapłaciła straszną, mę-

czeńską śmiercią. But niemiecki nie wybierał. Deptał wszystko z nieubłaganą brutalnością. Chciał w nas zniszczyć i zdeptać wszystko: godność, ambicję, honor, miłość do Ojczyzny. Lecz niestety. W tym strasznym, przeklętym marszu zdołali tylko jedno zniszczyć i stratować: głos własnego sumienia. Żeby choć jeden raz ocknęły się w nich jakieś resztki sumienia, żeby raz wstrząsnęło coś nimi i wyrwało ich z tej okropnej ślepoty — nic. Podkutymi butami przeszli po własnym sumieniu i pozbyli się go raz na zawsze. Po co dźwigać taki niepotrzebny ciężar jak sumienie? Ale czasem ten but, martwy przedmiot, w sposób dziwny i niewytłumaczony buntował się na nogach zbrodniarzy, palił i uciskał przypomnieniem tego, co robili. Niemka, która zabiła staruszkę, stała teraz jak na ogniu. Buty skrzypiały, paliły, nogi wykonywały jakieś bezmyślne ruchy i jakby przykute ołowiem nie mogły podźwignąć się, by pójść dalej. Stała i patrzyła na nas młoda niemiecka zbrodniarka. Cisza była martwa — tylko dźwięczały w niej jeszcze słowa zabitej — trup kobiety leżał wolny od złudy i nadziei, wolny od wszystkich pragnień, tylko otwarte oczy zmarłej patrzyły uparcie w Niemkę i oskarżały o jedną zbrodnię więcej. Niemka wreszcie dźwignęła się z miejsca z niesłychanym trudem i wolno szła wzdłuż naszych szeregów. Buty zaskrzypiały znowu i wśród tej martwej ciszy zdawało się to zgrzytem nie do zniesienia. Gdyby Niemka ta umiała słuchać, usłyszałaby z pewnością to, co my słyszałyśmy. Buty skrzypiały cichutko w takt jej kroków: „Za-bi-łaś — za-bi-łaś — za-bi-

łaś!!! Pokój wypełniał się tymi słowami, robiło się duszno i ciasno od tych słów. Buty Niemki wrzeszczały już głośno — za-bi-łaś! Ściany krzyczały — za-bi-łaś! Po szybach okien sączyła się wolno woda skraplającej się pary, jak lzy ostatniego smutku, który mogliśmy oddać na pożegnanie zabitej.

W pokoju zrobiło się niesłychanie głośno. Patrzyłyśmy jedna na drugą, nie zdając sobie sprawy z tego, że my wszystkie mówimy, krzyczymy, starając się przekrzyczeć nawzajem. Zdawało nam się, że trup starej, zabitej kobiety otwiera usta i krzyczy razem z nami: „Za-bi-łaś”!!! I nagle — znowu cisza. Drżąca, niecierpliwa cisza, w którą wplątały się srebrne włosy jak nici babiego lata, cisza, w którą lzy padają jak wielkie krople deszczu, cisza w której słyszeć było śmierć, jak wyszła niespostrzeżenie, zabierając z sobą zabita kobietę w koronie męczeńskiej, by oddać ją Bogu. Niemka, jak zbity pies, ze spuszczoneym łbem opuszczała wolno pokój, odprowadzana setkami przymrużonych oczu, setkami zacisniętych ust, setkami złożonych w pięść rąk. Wyszła. Do pokoju wszedł lekarz, który nazywał się Szydłowski i lekarka Oberheuser. Patrzyli na nas chwilę i wreszcie Oberheuser powiedziała nam, że odbędą się badania ginekologiczne. Na stole, specjalnie w tym celu przygotowanym, kładły się kolejno kobiety stare i młode, a Oberheuser palcem uzbrojonym w gumową rękawiczkę dokonywała „badania”. Nie było to przecież żadne badanie. Był to raczej przegląd, czy przypadkiem, tak wyrafinowane zbrodniarki, jak my, nie przemycimy czegoś zakazanego do obozu. Pan doktor Szydłowski stał



przy nas i patrzył na odbywający się proces „badań ginekologicznych”, uśmiechając się przy tym z zadowoleniem. Skończyło się i to. Myślałyśmy, że nareszcie pozwolą nam się wykąpać i dadzą nam przynajmniej na razie spokój. Niestety. Ich procedura była bardziej wymyślna i skomplikowana. Ledwie zdążyłyśmy się wykąpać, dokładnie obejrzane przed tym, czy nie mamy wszów, a już kazano nam znowu nago stanąć jedna za drugą. Oto na stole siedział pan doktor Szydłowski, machając „z wdziękiem” nogami, do którego kolejno musiałyśmy podchodzić i odpowiadać na pytania: Nazwisko? Imię? Data i miejsce urodzenia? Za co aresztowana? Na to ostatnie pytanie odpowiedzi były przeważnie: „Nie wiem”, albo „organizacja”. Słowo „organizacja” wypowiedane było twardo, wyzywająco, hardo, z podniesioną głową, z ironicznym uśmiechem, który mówił: „No i co mi możesz teraz zrobić, ty bezsilny oprawco, ty niemiecki kacie? Rzucam ci to słowo w twarz jak wyzwanie i obelgę — or-ga-ni-za-cja! Słyszysz? Pluję na twój ohydny, spasiony pruski pysk, który wykrzywiła ci wściekłość i bezsilność, że nie możesz mnie w tej chwili nawet zabić! Tylko zabić! Chciałbyś — prawda? Ale nawet na to cię nie stać. Boisz się, ty ogłupiały chamie, synu śmierdzącego tchórzostwa i gnijącej moralności. Stoję przed tobą naga i bosa. Myślałeś, że mnie tym upokorzysz, że głowę spuszczę i rumieniec wstydu twarz mi zakryje. Weź lustro do ręki i zobacz jak wyglądasz. Tyś jest wściekły — a ja, spokojna. Tyś upokorzony własnymi czynami, a ja — dumna. Ty się boisz, bo przecież lęk i przerażenie wyziera

i krzyczy z twoich zwierzęcych, podstępnych ślepi — a ja mam w sobie odwagę całego świata. Niosę ją przed sobą jak światło, które mi drogę toruje w wędrówce po waszej przeklętej ziemi, przez krew i trupy, którymi zasiewacie waszą ziemię, przez zbrodnie, w których kapiecie własne dzieci i siebie samych, przez pożogi, które was oślepiły.

Doktor Szydłowski skończył swój „przegląd” nagiej i bosej armii kobiecej. Nie przyniosło mu to widocznie takiego zadowolenia i satysfakcji, jakiej się spodziewał, gdyż korowód nagich kobiet dawno się skończył, a pan Szydłowski długo jeszcze siedział na stole ze zmarszczonym czołem, ukrywszy twarz w dłoniach i myślał. Może była to chwila jakiegoś krótkiego żalu, w której płakał nad losem swojej spodłonej ojczyzny, która doszła do swej wielkości i chwały zbrodnicznymi eksperymentami! Może zastanawiał się, czy warto takimi metodami walczyć o jakieś wątpliwe zwycięstwo? A może w tym tępym łbie zrodziło się nagle jak błyskawica jakieś niejasne przeczucie Większego Upadku od Wielkiego Zwycięstwa. Nie wiem. Widziałam tylko, jego zmęczone, bezmyślne oczy, szukające jakoby oparcia i wytłumaczenia tego, co się dzieje w naszych twarzach. Powlókł się wolno do drzwi. Patrzyłyśmy za nim i każda z nas myślała: Idź, ty niemiecki psie, ty urodzony niewolniku, idź, kładź dalej łeb w obrożę niewoli reżimu hitlerowskiego, który ci batem grozi, każąc ci zasłynąć na arenie życia jako zbrodniarzowi i mordercy.

Zostałyśmy „umundurowane”. Dano nam cienką bieliznę i cienkie, letnie sukienki. I nic więcej.

Sukienek nie dobierano według wzrostu — nie. Jeżeli któraś była bardzo wysoka, a „wypadła” na nią właśnie bardzo krótka sukienka, to wyglądała tak cudacznie, że nawet w tej tragicznej chwili nie można było opanować wybuchów śmiechu, które rozbrzmiewały coraz w innym kącie pokoju. Oczywiście, że po kilku dniach wszystkie były „elegancko” ubrane, gdyż między sobą zamieniałyśmy bieliznę i sukienki odpowiednio do wzrostu. Prędko w obozie zorientowałyśmy się, że wszystko trzeba robić, co jest zabronione i zakazane, tylko nie dać się złapać. Przepisy i zakazy były po to, żeby je umiejętnie omijać, gdyż inaczej nikt życia z obozu nie wyniesie.

Tak „umundurowane”, boso, szliśmy do przydzielonego nam bloku 13. Była głęboka noc. Cały obóz pogrążony był we śnie. Tylko blok 13 patrzył na nas oświetlonymi oknami jakoś wrogo i niechętnie. Światła jakimś dysonansem wdzierały się w czarną noc, której, zdawało nam się, nie przebrniemy nigdy. Wiecznie w niej będziemy brodzić smutne i zagubione, oderwane od rzeczywistości, jakieś nierealne cienie ludzi, zatopionych w mgle zimnego, nocnego smutku. Drzwi bloku nagle otworzono i tu czekała nas miła niespodzianka. Blok wyglądał czysto i ładnie, ale zimno i nieprzytulnie. Wszystko tu było niemieckie i wszystko wrogie. Tylko „blokowa” (to była osoba, prowadząca cały blok, tzw. „starsza bloku”) była Polką dobrą i przyjemną. Nazywała się Marta Baranowska. Urządziła wszystko jak mogła najlepiej i najprzyjemniej na nasze przyjęcie. Powiedziała nam na przywi-

tanie kilka mocnych, pocieszających słów, później zaczęły się rozmowy na tematy polityczne, ci-cho, konspiracyjnie, rozmowy, które miały rozkosz i smak czegoś intymnego, chronionego przed okiem i uchem wszelkiego obcego elementu. To były rozmowy święte. Nigdy nie zapomnę tej pierwszej nocy w obozie, nocy, wśród której rozgorączkowana i prawie nieprzytomna usłyszałam słowa śmiałe, które szybko obiegały salę od ust do ust, od uszu do uszu: Niemcy muszą upaść. Zabije ich własna zaraza, jaką szerzą. Zgnilizna i trupy, po których kroczą, doprowadzi wreszcie do ich całkowitego rozkładu. Ten proces już rozpoczął się i szybko postępuje naprzód. Spojrzałam na mówiącą. Twarz uparta, zacięta, oczy zapatrzane w przestrzeń, jak w wizję. Twarz Marty Baranowskiej. Poszłyśmy spać. Patrzałam jeszcze długo w okno, za którym stała ciężka, nieprzenikniona noc obozowa. Szalał wiatr, tłukąc w szyby niepokojem. Serce moje było ciężkie i niespokojne. Myślałam jeszcze na pół świadomie, że trzynastka jest feralna, że chciałabym raz jeszcze poszukać szarotki w górach i poczuć jej szare, aksamitne ciepło. Myśli mieszały się i mąciły, przeskakiwały z tematu na temat, z osoby na osobę, usłyszałam siostrę moją Hanę jak śpiewa „jarzębino, jarzębino, daj koralu, daj” i nagle zobaczyłam przylepioną do szyby dużą jarzębinę, uśmiechającą się do mnie czerwonymi koralami, które miały kształt łez mojej Matki.

W bloku trzynastym odbywała się kwarantanna, która trwała 3 tygodnie. Przez ten czas nie chciano od nas nic, zostawiono nas w zupełnym spokoju.

Jedynym wymaganiem było to, żebyśmy ani w dzień ani w nocy nie opuszczali bloku. To było nam nawet na rękę. Nie potrzebowałyśmy godzinami stać na apelu, chodzić do pracy itd. Blok był czysty, każda z nas miała własne łóżko z czystym prześcieradłem, dwoma kocami powleczonymi w niebieską, kraciastą podpinkę. Warunki podczas kwarentanny były zupełnie znośne jak na obóz. Aufzjerka, która zarządzała naszym blokiem, była także zupełnie przyzwoita. Nie chciała nic od nas ani my od niej, wdzięczne jej byłyśmy za tę obojętność, z jaką na nas patrzyła i z jaką chodziła wśród nas. Przyglądała się nam czasami ciemnymi, łagodnymi oczami, uśmiechała się niekiedy jakimś smutnym, wstydliwym uśmiechem. Próbowwała kilkakrotnie nawiązać z nami rozmowę, ale to jakoś nie szło, słowa rwały się w połowie zaczętego zdania, mimo wysiłku z obydwu stron. Cóż ciekawego zresztą mogła nam powiedzieć ta Niemka? Czy chciała usprawiedliwiać siebie i swój naród, czy może oskarżać, aby w naszych i w własnych oczach stać się lepszą i czystsza? To przecież wszystko jedno. Nic nie odwróci zdarzeń, które już się stały. Nic nie jest w stanie zatrzymać biegu wypadków, które nieubłaganie piętrzyły się i rosły w mur nienawiści między nami. Nie ma i nie może być wspólnego języka i porozumienia na drodze, gdzie po jednej stronie jest Polak, a po drugiej — Niemiec. Gdzie po jednej stronie jest bohaterska walka o najświętszą sprawę — obrona Ojczyzny, a po drugiej stronie mord, pożogi i zwyczajne ordynarne rabowanie cudzej ziemi, odzieranie jej z odwiecznego

dorobku, z dzieł kultury, z ciężkiej wieloletniej pracy.

Kwarantanna dobiegała końca. Żadna epidemia wśród nas nie wybuchła. Wszystkie byłyśmy zdrowe, tylko znowu niepokojące pytanie: co dalej? Co robić? Do jakiej pracy pójść, żeby jak najwięcej oszczędzić własnych sił i jak najmniej pożytku przynieść tą pracą Niemcom. Blokowa Marta Baranowska radziła nam, żeby starsze i słabsze zgłaszały się do prac w obozie, w tzw. „betribach”. Były to duże hale, gdzie szyło się bieliznę, futra zrabowane nam i innym podbijało się pod płaszcze dla żołnierzy na front, ubrania, rękawiczki itp. Był też tzw. „Kunst”, gdzie ze słomy i z różnych innych rzeczy wyrabiało się różne artystyczne cacka. Do „Kunstu” szły jednak tylko te, które miały w tym kierunku jakiegokolwiek zdolności. Młodszym i silniejszym blokowa radziła zgłaszać się do prac poza obozem, a więc np.: prace rolne, naprawa torów kolejowych, wyładowywanie i załadowywanie wagonów, prace przy budowie domów, budowanie dróg, wyładowywanie statków z węgla, z cegieł i kamieni itp. Przerażała mnie trochę ta praca poza obozem, ale z drugiej strony znowu na myśl o dusznym „betribie”, gdzie będę musiała siedzieć 14 i 16 godzin na dobę, ogarniało mnie jeszcze większe przerażenie. Zresztą o „betribach” w obozie było głośno, jako o miejscach specjalnych kaźni i tortur. Każda najmniejsza niedokładność w pracy, jakieś drobne przeoczenie czegoś, uważane było za sabotaż i było powodem do bestialskiego bicia i znęcania się nad więźniarką, a często bicia aż na śmierć. W proce-

durze tej specjalnie zasłynęli jako kaci i postrach „betribów” SS-man Binder i Opitz. W „betribach” bowiem, oprócz aufzjerek, które pilnowały więźniarki przy pracy, byli również SS-mani jako siły fachowe i kierownicze. Ci „bohaterzy”, chwilowi władcy prawie całej Europy, nieopamiętani zbrodniarze, wiecznie głodni krwi ludzkiej, walczyli teraz w obozach koncentracyjnych z bezbronnymi kobietami, nurzając się coraz głębiej w zbrodniach, sądząc, że i w ten sposób dodają chwały wielkiej III-ciej Rzeszy. Nazwiska „Binder i Opitz” wymawiane były z jakimś zabobonnym lękiem przez pracownice „betribów”, które wymawiając je cicho, oglądały się zaraz trwożnie za siebie, czy przypadkiem który z nich nie wypełźnie gdzieś spod łóżka jakimś diabelskim sposobem, nie chwyci za włosy, rzucając na ziemię i nie zacznie kopać! Wybrałam pracę poza obozem. Cieszyłam się, że na kilka godzin dziennie zniknie mi z oczu ten obozowy koszmar, ten mur, który mi zawsze przypominał ścianę płaczu, widzianą gdzieś w kinie, kolczasty drut, nad którym tak wolno krążyło słońce i śmiesznie zahaczało się o jego kolce, które mu przeszkadzały i nie pozwalały wejść do obozu. Słońce nie wchodziło nigdy do nas. Zaczepione o kolczasty drut patrzyło czasem na nas długo i poważnie, czasem uśmiechało się do nas przyjaznym, ciepłym uśmiechem, na który nawet nigdy nie mogłyśmy odpowiedzieć, gdyż nie było na to ani siły, ani czasu.

Kwarantanna skończyła się. Po raz pierwszy syrena obozowa była dla nas znakiem nie tylko rozpoczęcia się dnia, ale oznajmiała nam również,

że musimy wyjść z bloku, aby stać na apelu i iść do pracy. Syrena na wstawanie z łóżek była o godzinie pół do czwartej rano. Druga syrena na wychodzenie z bloku i ustawianie się na apel była o godzinie czwartej, minut piętnaście. O pół do piątej każdy blok musiał już stać w porządku, w rzędach po dziesięć, aby aufzjerka mogła przeliczyć czy ilość ludzi zgadza się ze stanem bloku, jaki figurował w książkach blokowych. Blokowa każdego bloku musiała meldować aufzjerce, odbierającej apel stan bloku (ilość ludzi) i ta przeliczała, czy wszystko zgadza się. Apel trwał do 6-ej jeśli wszystko było w porządku. Następnie była syrena odwołująca apel liczebny i następował drugi apel, tzw. „apel roboczy”. Teraz kobiety ustawiały się kolumnami, wyruszającymi do różnych prac. A więc: te, które szły do jednego „betribu” ustawiały się razem, do drugiego „betribu” znowu w oddzielną grupę, pracujące poza obozem tworzyły także oddzielne kolumny itd. Każda kolumna pracująca miała „starszą kolumny”, tzw. „anwajzunga”. Była to także więźniarka, która musiała pilnować kolumnę i zarządzać pracą. Niezależnie od tego z kolumną szła zawsze jedna, dwie, lub trzy aufzjerki (zależnie od ilości osób w kolumnie) z psami i rewolwerami. Przed aufzjerką, odbierającą „apel roboczy” przechodziły kolejno wszystkie kolumny i „anwajzung” meldował nazwę komanda pracującego i ilość osób. Aufzjerka przeliczała ludzi i liczba ta musiała się zgadzać z ilością osób wracających z pracy. O godzinie dwunastej kolumny wracały na obiad, który trwał pół godziny. Wprawdzie nie było co jeść nawet przez pięć minut, gdyż

dwie zgniłe kartofle prędko wędrowały do śmieci, a na zupe ohydna śmierdząca brukiew na pół surowa w gorącej wodzie, z której wypijało się tylko tę wodę, aby czymś gorącym zasilić żołądek. Reszta wędrowała do śmieci, z których skwapliwie wybierały później dłużej siedzące w obozie i zjadały. Nigdy nie zapomnę tego wstrząsającego wrażenia, kiedy po raz pierwszy zobaczyłam chodzące pół trupy kobiet, które zagłodzonymi już prawie na śmierć oczami szukały w kotłach stojących przed blokiem — jedzenia. Drżącymi szkieletami rąk wygrzebywały zgniłe, stojące już od kilku dni, łupiny od kartofli, ohydnie cuchnące — i jadły. A oczy wciąż chciwie topiły się w śmieciach i szukały więcej. Myślałam wtedy nad tym, czy to jest możliwe, żeby człowiek nie umiał tak dalece zaplanować nad sobą i staczał się z jakąś beznadziejną szybkością na samo dno nędzy moralnej, idąc za instynktem zwierzęcym — jeść, jeść, wszystko jedno co i jak, byle tylko zapełnić żołądek. Ohyda. Wprawdzie my byliśmy jeszcze wtedy „arystokracją” obozową, która niedawno przyszła i miała jeszcze w swoim organizmie duże zapasy. Dlatego może z taką ignorancją przyszłości wyrzucałyśmy to „żarcie” do śmieci, albo oddawałyśmy je głodniejszym i dłużej w obozie przebywającym.

Po półgodzinnym „obiedzie” syrena znowu wzywała na apel roboczy. I znów szły niekończące się kolumny kobiet do pracy. Do wieczora. Wieczorem, o godzinie 20-tej, kiedy wszyscy wrócili z pracy, syrena znowu wyła, wzywając na apel liczebny. I teraz dopiero zaczynała się prawdziwa gehenna.

Zaczynały się stójki godzinami, bo przecież kolumny już nie szły do pracy, co najwyżej nie pójdą spać. Rano, to co innego, kobiety przecież muszą iść do pracy, więc apel nie może trwać zbyt długo, ale wieczorem? Te, które szły na noc do pracy w „betribach“, zwalniano z apelu zaraz po przeliczeniu, a reszta — może stać. A więc: któryś blok ustawiał się na apel za wolno — stoimy wszystkie za karę o godzinę dłużej. Drugi blok był za głośny — stoimy jeszcze godzinę dłużej. Któraś stanęła nie przepisowo „na baczność“ — jeszcze jedna godzina. I tak narastały godzina za godziną, dzień dawno już ustąpił miejsca nocy, nogi wrastały w ziemię, serca mdlały z bólu i rozpacz, oczy zamykało zmęczenie — a godziny wlokły się wolno, wolno. Tylko od czasu do czasu czyjeś usta poruszały się leniwie i pytały szeptem: „Nie wiecie, jak długo jeszcze będziemy stały“? Blokowa patrzyła ukradkiem na zegarek i odpowiadała pocieszająco: „Jeszcze dwie godziny“. Głębokie westchnienie i myśl — Boże, jeszcze dwie godziny, a stoimy już trzy. Zimna noc nieprzyjaźnie krążyła wokół nas i przenikała bolesnym chłodem. Gwiazdy ze swojej wysokości patrzyły na nas nieruchomo i obojętnie, czasem któraś spadła, napęlniając serca nasze jeszcze większym smutkiem, zostawiając po sobie białą smugę śmierci. Każda z nas widziała swój los w spadającej gwiazdzie, los nieodgadniony, zamknięty w czyichś dłoniach, los, który może błędził teraz między nami i szukał czy wybierał. Aufzjerki w długich, czarnych pelerynach, zakapturzone, włóczyły się jak mary nocne, jak potworne widziadła, jak

potępione dusze siejące strach i przerażenie. Wreszcie apel dobiegał końca. Byłyśmy już wszystkie tak wyczerpane i zziębnięte, że właściwie było nam wszystko jedno. Teraz mogłyśmy stać jeszcze noc i dzień i znowu noc. Mogłyśmy umierać bez żalu w tym niekończącym się przeklętym apelu. Bo cóż to jest umrzeć? Odejść i odpocząć. Nie widzieć tej nędzy, tego barbarzyństwa i okrucieństwa. Odejść od tej ohydy obozowej, którą szumnie nazywano „życiem”. Zostawić daleko za sobą ten cmentarz cieni ludzkich, których minęło życie i którzy w jakimś okropnym przeznaczeniu zawisli między życiem a śmiercią. Kiedy syrena zawyła, oznajmiając wreszcie koniec apelu, nie miałyśmy siły, aby cieszyć się. Szłyśmy wolno, nie spiesząc się. Tupot tysiąca nóg mącił ciszę nocy, świat palił się nienawiścią milionów serc. Podniosłam twarz do góry i cichutko w skupieniu liczyłam gwiazdy. Poczułam jakieś wilgotne ciepło i nie wiedziałam, czy to łzy, czy pierwsze, duże krople spadającego deszczu.

Pierwszy dzień naszej pracy po kwarantannie był smutny i brzemienny w następstwa. Część z nas poszła do pracy w „betribie”, druga część, w której i ja się znalazłam, poszła do pracy poza obozem. Dzień był upalny. Zdawało się, że z otwartego nieba leci ogień, którym Bóg chce na miazgę stopić ziemię, żeby z popiołów stworzyć inny świat i nowego, lepszego człowieka. Ja byłam w kolumnie, która szła 2 kilometry, nad jezioro, gdzie czekał na wyładowanie cegieł statek. Ustawione w odległości dwu metrów jedna od drugiej podawałyśmy łańcuchem cegły z rąk do rąk, chwytając

jąc je w locie i rzucając je dalej. Z początku praca ta wydawała nam się dziecinną igraszką. Ale kiedy pierwsza setka dobiegała końca, żadna już nie miała ochoty uśmiechać się. Te wieczne obroty w jedną stronę, żeby cegłę chwycić, później w drugą, żeby ją rzucić następnej, zrobiły swoje. Ból w ramionach i w krzyżu stawał się nie do zniesienia. Rękawice w strzępach, skóra z rąk zdarta. Ruchy stawały się powolne i ciężkie, tylko ręce bez przerwy migały jak dwie krwawe rany, grożące słońcu za jego niemiłosierność. Pragnienie było dokuczliwe i nieznośne. Jedna patrzyła na drugą, jak gdyby u niej szukając pociechy. „Pić, pić”, mówiły oczy każdej z nas, ale nie znajdowały w oczach drugiej żadnego źródła ani pociechy. Oczy tamtej mówiły to samo. Też były spragnione i smutne i chciały wody. Nie wiem, co było gorsze, czy to okropne, nieludzkie pragnienie, czy te strasznie zranione ręce, w które nadal trzeba było chwytać cegły. Bo przecież to dopiero pierwsza setka poszła. Sto cegieł przeszło przez ręce każdej z nas, a musiało ich przejść 10 do dwunastu tysięcy. A cegły z rąk wypuścić nie można, bo aufzjerka z psem krąży dokoła nas chciwa, wyczekująca momentu, w którym będzie mogła psa puścić na jakąś niešťczęśliwą i sama rzucić się jak sęp na ofiarę. Od czasu do czasu szczerknęła tylko jak pies „schnell”, albo „weiter”, kiedy zdawało jej się, że ruchy rąk naszych są zbyt wolne i praca za mało wydajna. Później nie czułyśmy już nawet bólu, tylko wąski strumyk krwi płynący wolno, jak godziny tego upalnego dnia, przypominał nam ból i zranione ręce.

W pewnej chwili, któraś nie wytrzymała. Ręce opadły i zatrzymały się. Cegła rzucona w jej stronę upadła jej do nóg, druga, trzecia, czwarta, cały stos, na który wreszcie zwała się całym ciężarem zmęczonego, bezbronnego ciała. Praca została na chwilę wstrzymana, aufzjerka nie mogła jeszcze dobrze zorientować się co zaszło, ale na wszelki wypadek, drżącymi ze złości rękami, zaczęła odpinać łańcuch na szyi psa. Wtedy zobaczyła nasze oczy złe i mściwe. Oczy zaczepne, nie przebierające w środkach, nieustępliwe i nie znające litości w tym wypadku. Zobaczyła dziesiątki krwawych ran, które kiedyś były ludzkimi rękami, dźwigających w górę nieczule ciało dziewczyny. Coś wstrzymało jej ręce. Łańcuch zapięła z powrotem i trzymając mocno psa, szła szybko w naszą stronę. Spytała, co się stało i nie było w tym pytaniu złości czy gniewu. Była raczej bezradna, a ton jej głosu był spokojny i ugodowy. Powiedziałyśmy jej, co zaszło i przy okazji prosiłyśmy o wodę. Mówiłyśmy jedna przez drugą, że w tych warunkach nie można pracować. Słuchała wszystkiego, oglądała nasze ręce, kiwała niby współczująco głową i wreszcie powiedziała nam, że ona to wszystko rozumie, ale nic na to poradzić nie może, gdyż komendant obozu surowo zabronił dawać wodę do picia podczas pracy. To niby ze względu na „nasze zdrowie”. Pan komendant był przecież człowiek „światły i rozumny”, on wiedział dobrze, co dla nas jest „najlepsze”. No cóż, aufzjerce może nawet trudno było dziwić się. Było to głupie, ślepe narzędzie w rękach zbrodniarzy. Była to mniejsza zbrodniarka do wykony-

wania zarządzeń większych zbrodniarzy. Głupie, nieczułe bydle, które umiało czuć, myśleć i robić tylko na rozkaz, w takt świszczącego bata, który wiecznie nad nią wisiał.

Kiedy wieczorem wracałyśmy do obozu po całodzienną pracę, czekał nas jeszcze apel wieczorny, zwiększony może znowu o niezliczoną ilość godzin jako kara za jakieś głupie, nic nie znaczące przestępstwa. Myśl o tym apelu mieszała się wraz z bólem całego ciała i tworzyła jeszcze jedną piekącą ranę w sercu. Apel tego dnia trwał „wyjątkowo” krótko, bo „tylko” 2 godziny. Po apelu, wieczorem, zebraliśmy się wszystkie w „jadalni”, żeby opowiedzieć sobie wrażenia pierwszego dnia pracy. Ale czy trzeba było w ogóle coś mówić? Czy potrzebne tu były słowa? Czy nasze ręce i nie mogące wyprostować się plecy nie były dość wymownym opowiadaniem zdarzeń dnia dzisiejszego? Przyszła koszmarna zła noc, nie z tych nocy, w które człowiek rzuca rozpaloną głowę i przysięga sobie życie zmienić i „ruszyć z posad bryłę świata”. Była to noc bezradna, w której człowiek jest bezbronny i bezsilny, noc, w której się człowiek gubi i zatapia i zdaje mu się, że cały jest samą nocą i ciemnością, a kiedy w tym mroku znowu odnajduje siebie — zaczyna cicho ale uparcie pragnąć śmierci. Modli się o nią. Prosi Wielkiego Dalekiego Boga o śmierć, jak o największe szczęście. Niebo jest zaparte, Bóg nie chce usłyszeć, ale chęć śmierci jest silna i trwa.

Minęło kilka niezmiennych dni. Praca nad siły ciężka, po której człowiek walił się jak kłoda na

łóżko i zasypiał snem twardym, ciężkim, bez przywidzeń i marzeń. Budził się człowiek rano śmiertelnie zmęczony, obolały, zniechęcony, z jakąś gorczą w sercu, że znowu minęła pusta noc. Żeby choć raz jeden sen o domu, jedno małe przybliżenie i wspomnienie cudownej przeszłości, jeden uśmiech matki we śnie jak promień szczęścia — nic. Noc obozowa surowa i twarda, przez którą nie przedostanie się żaden sen ani marzenie. Noc, w której nawet wspominać nie można.

Pewnego wieczoru, po apelu, leżałyśmy już wszystkie w łóżkach i każda była pogrążona w własnych myślach. Było ciemno i cicho. Sen krążył wolno od łóżka do łóżka i zamykał spokojnie oczy leżącym kobietom. Z jednego końca dobiegał jeszcze jakiś urywany szept zapóźnionej modlitwy, z drugiego końca — jakieś niezrozumiałe słowa wymawiane przez sen — prośba czy protest. Wreszcie ucichło wszystko. Ciężkie, równe oddechy, dobiegające ze wszystkich stron, świadczyły o tym, że cały blok śpi. Leżałam wtedy długo z szeroko otwartymi oczyma i nie mogłam zasnąć. Jakiś niepokój usadowił się głęboko w moim sercu i tragicznym smutkiem wypełniał mnie całą. Zwierzęcym instynktem wyczuwałam czające się niebezpieczeństwo, o którym myśl starałam się odsunąć od siebie. Ale myśl uparta wracała, nerwy były napięte aż do bólu, w głowie huczało, w uszach nieznośny szum. Zaczęłam badać własny puls i pierwsza niepokojąca myśl: Jestem chora. Ale puls uderzał prawie normalnie, równo, lekko tylko przyspieszony podnieceniem nerwowym. Byłam teraz zła na sie-

bie. Pomyślałam, że jestem histeryczką, że pozwalam się ponosić urojeniom i, że wmawiam w siebie chorobę. Leżałam jeszcze chwilę spokojnie, nad słuchując, czy przypadkiem któraś z moich najbliższych towarzyszek snu nie obudzi się. Tak, chciałabym teraz usłyszeć czyjś głos, mówić z kimś. Zwyczajnie, normalnie mówić o wszystkim albo o niczym, o rzeczach ważnych, albo o nic nieznaczących. Ot, po prostu — rozmawiać.

Nagle usłyszałam jakiś daleki odgłos kroków, przyciszone głosy, coraz bliżej, bliżej. I głos Haliny Raczyńskiej, która obok mnie spała: „Michalina, nie śpisz”?

— „Cały czas nie śpię” — odpowiedziałam. — „Nie mogę. Jakby ktoś stał obok mego łóżka i przeszkadzał mi. A ty”? — „Ja też nie mogę spać, ale nie chciałam do ciebie mówić, żeby ci nie przeszkadzać. Myślałam, że zaśniesz”. Chwila ciszy i znowu głos: „Słyszysz? Co to może być? Jakiś okropny krzyk — ktoś płacze — kogoś biją — Jezus Maryja!!!” Jakby jakaś siła podniosła wszystkie z łóżek, zrobiło się nagle głośno, jedno przerażające słowo obiegło jak piorun cały blok: Re-wi-zja!!! Rewizja na blokach polskich! Szukają jakichś papierów! Ktoś próbował modlić się. Któraś zapaliła światło i została za to zbesztana przez inną, że chce ściągnąć nieszczęście na cały blok. Światło znowu zgasło. W bloku huczało, jak w wielkim kotle benzyny, pod który nagle podłożono ogień. Któraś wrzeszczała, dotknięta atakiem nerwowym, inna ostrzegała szeptem, żeby niszczyć lub dobrze schować wszystkie wiersze i papiery. Trudno było zorientować się w tych ciem-

nościach, co która robi, ale szelest dartych papierów pozwalał domyślać się, że sporo było na bloku „materiału zakazanego”, nad zniszczeniem którego odchodziła teraz gorączkowa praca. Jedna stała cały czas z nosem przyklejonym do szyby i zdawała nam relację z procesu odbywającego się na sąsiednim bloku: „Aufzjerki i SS-mani obstawili cały blok. Wyrzucają wszystkie z bloku. W koszulach. Biją i kopią. Słyszycie krzyk? To u jednej znalazł SS-man swetr pod koszulą. Zdarł z niej ten swetr i teraz ją jeszcze tłucze”. Długo jeszcze stała przy oknie, opowiadając nam dzieje rewizji tamtego bloku. Nagle odskoczyła od okna i wdrapując się wolno na swoje łóżko, znajdujące się na „trzecim piętrze”, mówiła z humorem: „No, panowie SS-mani. Blok 13 czeka. Przygotowany jest do rewizji pierwszorzędnie. Znajdziecie tu wszystko oprócz tego, co chcecie znaleźć”. Rzeczywiście, praca nasza była skończona. Leżeliśmy teraz spokojnie. W bloku była skupiona cisza i natężona uwaga. Nagle rozbłysło światło. Blok wypełnił się tysiącem kroków i ohydnych wyrazami bluzganymi przez niemieckie pyski. Wśród nas nie było już teraz popłochu. Byliśmy spokojne. Każda spokojnie wstawała ze swego łóżka i wychodziła w koszuli przed blok. Tam ustawialiśmy się znowu w rzędy po 10 i stałyśmy, czekając rezultatu. Było nam okropnie zimno. Zbijaliśmy się w małe grupki, tuląc się do siebie, w ten sposób ogrzewając zmarznięte ciało. Skończyli rewizję na naszym bloku wraz z syreną wzywającą na wstawanie. Nas nie potrzebowała dziś budzić syrena. SS-mani wraz z aufzjerkami opuszczali blok,

a my kolejno zaczęliśmy wchodzić do bloku, żeby się ubrać, pójść na apel i do pracy. Blok był jak po spaleniu. Wszystkie sienniki z łóżek powywalane na ziemię, koce, ubrania, miski, kubki, łyżki, wszystko to tworzyło jedną wielką górę, piętrzącą się pod sufit. Szafy, stoły i stołki powywracane w pokoju jadalnym, tworzyły jedną wielką barykadę, przez którą trudno było dostać się do środka. O tym, żeby napić się dzisiaj kawy gorącej przed wyjściem na apel, nie było co marzyć. Trzeba było jakoś odszukać swoje ubranie, znaleźć swój sien-
nik i koce, zrobić łóżko „w kostkę” i zostawić blok w całkowitym porządku. Mimo niewyspania i zmęczenia zabrałyśmy się ochoczo do pracy, śmiejąc się przy tym i żartując z inteligencji Niemców. Po trzech kwadransach blok wyglądał czysto i porządnie jak przedtem. Nic nie wskazywało na to, że w nocy przeszedł tędy huragan. Dzień zaczął się fatalnie — pod znakiem rewizji. Niemcy szaleli. Na obóz padł blady strach. Podczas apelu była śmiertelna cisza, przerywana tylko ujadaniem psów, prowadzonych przez aufzjerki. Gdzieś puszczony pies chwycił za nogi stojącą więźniarkę i szarpał ciało, zostawiając duże, głębokie rany. Biegł dalej, gryząc następną, której krzyk leciał w górę jak skarga i przekleństwo. Za to, że ośmieleła się krzyczeć, dostawała jeszcze kilka razy w twarz od aufzjerki. Tak sobie po prostu, za nic, ku uciechu patrzącym Niemcom z „panem komendantem” na czele, który był łaskaw zaszczyścić dzisiejszy apel swoją obecnością. Szedł, założywszy ręce do tyłu jak Napoleon, niosąc swoją ohydną

psią mordę na grubym, tłustym karku i patrząc od czasu do czasu na stojące szeregi kobiet po obydwu stronach drogi swego „wspaniałego” marszu. Zatrzymywał się niekiedy przy więźniarce, sprawdzał czy dobrze ma przyszyty numer do sukni, odpinał sukienkę i patrzył czy nie ma pod spodem podwójnej bielizny, nachylał się, aby podnieść sukienkę do góry i sprawdzić czy nie ma na sobie dwóch par majtek. To było surowo zabraniane i nieszczęśliwa była ta, u której znalazł coś zakazanego. Nawet guzik zapięty nieprzepisowo (w zimie musiało wszystko być zapięte pod szyję na ostatni guzik, a w lecie na pierwszy guzik od góry nie wolno było zapinać sukienki) wystarczył jako powód do tego, że „pan komendant” tłukł w twarz swoją ciężką, zwierzęcą łapą, aż huczało, a później jeszcze psa puszczał, który kończył zaczęte dzieło. Leżała nieszczęśliwa, zbita i pogryziona i my na to patrzyliśmy, nie mogąc nic poradzić ani pomóc. Nawet podnieść nie mogliśmy jej, dopóki trwał apel. To był doraźny wymiar kary, od razu, na gorąco. Nie kończyło się jednak na tym. Komendant kazał auzjerce zapisać numer zbitej i blok, na którym mieszka i przedstawić ją sobie do karnego raportu. Był to tzw. „meldunek”. Karne raporty odbierał komendant we wtorki i piątki. Ustawiały się liczne rzesez tych, które miały „meldunek”, przed komendanturą i wywoływane, kolejno wchodziły do pokoju, gdzie urzędowała „oberynka” i komendant. Tam stawała na bacność i musiała się meldować: „schutzhaftling numer...”. Komendant, w meldunku

spisanym przez aufzjerkę, miał dokładnie podany powód, za który nieszczęśliwa powołana była przed „sąd”. Czytał jej oskarżenie i łaskawie pozwalał jej tłumaczyć się. To „pozwolenie” było w takiej formie, żeby na oskarżonej wymóc przyznanie się do winy. Jeśli która rzeczywiście próbowała tłumaczyć się, wychodziła z pokoju pana komendanta z rozbitym nosem, z powybijanymi zębami, w podartej sukni, z pogryzionymi nogami. Pan komendant wprawdzie sam nie gryzł, ale miał do tych celów psa. Kary były różne: 25, 50, 75 i 100 batów, kilka, lub kilkanaście tygodni bunkra, w którym było ciemno dzień i noc, głodówka — co piąty dzień obiad, a cztery dni nic, stanie w wodzie do pasa przez kilka dni, zimne tusze, których nawet najsilniejsza nie była w stanie wytrzymać więcej, jak 5. I psy. Ponad wszystkie kary psy były największym postrachem.

Pewnego dnia, wracałyśmy jak zwykle do obozu. Już przy bramie czułyśmy, że musiało coś się stać w obozie. Jakaś niespokojna, drażniąca atmosfera, w której krąg wchodziłyśmy, zaostrzyła od razu naszą czujność i uwagę. Niebezpieczeństwa, o które wiecznie musiałyśmy ocierać się w obozie, robiły nas podobne do zwierząt czujnych, węszących, pilnie wyteżających wzrok i nastawiających uszu. Jakimś zmysłem niedostępnym dla innych, nauczyłyśmy się wyczuwać i odróżniać fluidy powietrzne, zwiastujące nam zło i niebezpieczeństwo. I teraz nie zawiodło nas nasze wyczucie. Nie zdążyłyśmy jeszcze dojść do bloku, a już po drodze spotykane koleżanki oznajmiały nam, co zaszło.

— Wiecie, mówiły, wzięto dziś 8 kobiet na śmierć. Warszawski transport, który przyjechał z „Pawia-ka” przed wami.

— Nie wiecie jakie miały sprawy?

— Ciężkie, podobno. Broń, dowiedziona organizacja... Popatrzyłyśmy na siebie w milczeniu. Rozumiałyśmy się dobrze bez słów.

— A nazwiska znacie?

— Jakubowska, Pietrzak, Matysiak, Pacocha... Pacocha! Mój Boże, jeszcze dziś rano mówiła, że tak bardzo chciałaby zobaczyć swoje dzieci, które jej się wciąż śnią. Wróciłyśmy na blok smutne i zmęczone. Tu także kobiety zbite w małe grupy rozmawiały cicho o zabranych na śmierć. Omawiano sprawy zabranych kobiet, niektóre dopatrywały się specjalnie ciężkich win w ich sprawach, jak gdyby tym sposobem zmniejszyć chciały własne obciążenia i pocieszać się nadzieją, że jej to przecież nie grozi. Rozsądniejsze wiedziały, że sprawa jest beznadziejna, że wszystkie jedziemy na tym samym wózku, tylko dzień naszego odjazdu jest niewiadomy.

Wypadki teraz toczyły się szybko. Każdy dzień obfitował w nowe zdarzenia. Nie zdążyłyśmy jeszcze ochłonąć z wiadomości o pierwszych egzekucjach, gdy na drugi dzień wieczorem spadła na nas jak grom druga, przysgniatająca wiadomość. Biorą spośród nas na operacje doświadczalne. Dziś wzięto pierwszych pięć. Robiono na nich doświadczenia, jak na królikach. Dlatego też w obozie nazwano od razu operowane dziewczęta „królikami”. Nazwa ta przetrwała aż do końca. Operacyj dokonywali

lekarze z dużego sanatorium dla żołnierzy niemieckich w Hohenlychen. Byli to: dr Gephardt, dr Fischer i lekarka z obozu Oberheuser. Co kilka dni przychodziły na blok nasze dziewczęta pracujące w „rewirze” obozowym, i mówiły: „Znowu będą brali na „króliki”. Był dziś w obozie dr Gephardt i Fischer, a po ich wyjściu opróżniano jeden pokój w rewirze i przygotowywano „łóżka”. Następnego dnia przychodziła aufzjerka z kartką, z której wyczytywała nazwiska kobiet, mających zgłosić się do rewiru o oznaczonej godzinie. Wybierane były przeważnie młode, zdrowe dziewczęta, badane przed tym dokładnie, czy nie są obciążone jakąś specjalną chorobą, czy nie mają temperatury itd., jednym słowem, czy są zupełnie zdrowe, nadające się na doświadczenia. Jedna z kobiet pięć razy wzywana była do rewiru, na której mieli dokonać operacji doświadczalnej, i 5 razy jej uniknęła dzięki temu, że dwa razy miała wrzód na nodze, 3 razy była przeziębiona i miała trochę gorączki. Nazywała się Lucyna Cesiul, o której jeszcze na końcu wspomnę słów kilka.

Operacje były różne. Nie mogę napisać dokładnie, jakiego rodzaju były te operacje, gdyż medycyna jest mi zupełnie obca. Mogę napisać tylko jak wyglądały operowane po operacji i jakie były skutki. A więc pierwszych pięć operowanych nie widziałam, gdyż zmarły krótko po operacji. Mówiono w obozie, że robiono na nich doświadczenia tężca. Następne miały przeważnie operowane nogi, z tych także wiele umarło, a reszta była w stanie opłakanym. Śliczne, młode, zdrowe dziewcz-

częta, które po kilkumiesięcznym pobycie w rewirze, wychodziły kalekami, wsparte na kulach lub laskach. Nieliczne wyjątki mogły chodzić o własnych siłach. Co najstraszniejsze w tym wszystkim, to fakt, że na operowanych, które przeżyły operacje, dokonywano także po pewnym czasie wyroki śmierci. Nogi „królików” były okropne. Powycinane zupełnie mięśnie tak, że zostały tylko kości obciążnięte skórą, zupełny bezwład stóp albo całych nóg, powycinane kości po 10, 20, 30 cm w tym miejscu, gdzie łydka. Niektóre z operowanych miały małe tylko cięcia, które nie wyglądały groźnie, po których rany goiły się dość szybko. Niestety, ta szybkość gojenia była tylko pozorna, bo już po kilku dniach rana otwierała się na nowo, rana, z której wyciekała okropna, cuchnąca ciecz. Z otwartej znowu rany, operowana sama już wyciągała kawałki szkła, drzewa, nici, papier itp. śmiecie. Pamiętam, że jedna z operowanych, 19-to letnia Janina Iwańska, po dwóch latach jeszcze wyjmowała z rany szkło. Przychodziła bardzo często do mnie na łóżko, gdzie skulone, cichutko gwarzyłyśmy o teatrze, o poezji, odbiegając myślami od potwornej rzeczywistości obozowej. Była to dziewczyna bardzo inteligentna, chłonąca w siebie wiedzę z niesłychaną żądzą i szybkością, ogromnie żywa i pełna pogody. Nawet zbrodnicza eksperymentalność medycyny niemieckiej nie zdołała w niej tego zniszczyć. Przeciwnie — zawsze jeszcze była pełna idealizmu i pogody w swoim spojrzeniu na świat i ludzi. Nawet wówczas, kiedy siedząc u mnie na łóżku, pochylała się nad okropną, ropiejącą raną, wyciągając z niej różne

zanieczyszczające ciało śmiecie, mówiła ze śmiechem: „Wiesz, ci bandyci to całkiem sprytnie urządzili operując nam nogi, chcą widocznie, żebyśmy nie mogły gonić dni tak szybko uciekających z naszego życia”. Dziś jeszcze słyszę jej śmiech po tych słowach, śmiech jasny, dźwięczny, za którym jednak kryło się dużo smutku i goryczy. (Kochana, mała dziewczynko, może w Ojczyźnie twojej wyleczą ci chorą nóżkę i znowu będziesz mogła gonić dni i słońce). Janina Iwańska miała siostrę Krystynę, która była także operowana. Wojtka Buraczyńska, Bogumiła Bąbińska, Halina Pietrzak, dwie siostry Czajkowskie, Maria Kapłon, Maria Jabłońska, Helena Piasecka, Maria Kuśmierczuk, Joanna Szydłowska — oto kilka nazwisk z legionu „królików”. Niektóre z dziewcząt operowane były po 3, 4 i 5 razy. Rany po jednej operacji były jeszcze świeże i niezagojone, co nie przeszkadzało zbrodniarzom niemieckim dokonywać dalszych operacji. „Króliki” z początku rozrzucone były po całym obozie, mieszkając na różnych blokach. Później przydzielono im jeden blok, na którym mieszkały wszystkie razem. Był to blok 15-ty.

Operacje doświadczalne w obozie zrobiły na nas wstrząsające wrażenie. Patrzyłyśmy z przerażeniem na szybkość, z jaką postępował proces produkowania kalek z młodych, zdrowych dziewcząt. Nie zdążyłyśmy jeszcze ochłonąć z tego ciosu, gdy w obozie szykowano już inną niespodziankę. Niemcy dbali o to, żebyśmy nie miały zbyt dużo czasu na zastanawianie się nad jednym wydarzeniem. Tym razem przygotowano tzw. „transport chorych”. Zabierano nocą samochodami wszystkie chore, starsze, nie-

zdolne do pracy. Wywożono je do komory gazowej. Robili to specjalnie nocą, żeby sprawa ta nie nabrała zbyt wielkiego rozgłosu i żebyśmy nie widziały scen rozgrywających się przy tym. Wszystkie kobiety przeznaczone na wywóz wiedziały doskonale, co znaczy „transport chorych”. Nocą zajeżdżał ciężarowy samochód przed blok chorych. SS-mani otaczali blok wkoło, a kilku z nich wchodziło do środka, aby wyrzucać ofiary. Sceny, jakie się tam odbywały, mroziły krew w żyłach. Wiele Polek pracowało przecież na bloku chorych i musiało na to patrzeć, a także i my, wiedząc wcześniej o mającym się odbyć transporcie, wychodziłyśmy cicho nocą i ukryte w ciemnościach za blokiem patrzyłyśmy na to okropne widowisko śmierci. Kobiety, którym śmierć wymalowała na twarzy jakiś obłęd i przerażenie, jak zwierzęta, rękami drapały ziemię, żeby w niej jamę wygrzebać, w której mogłyby ukryć się przed śmiercią. Chowały się pod łóżka, zagrzebywały się w sienniki — nic nie pomogło. Wpadli SS-mani, tratowali i bili, kopali, za włosy ciągnęli przez cały blok, aż wreszcie wywleczoną przed blok ofiarę wrzucali na samochód jak kawał drzewa, gdzie leżał już cichutko krwawy strzęp ciała ludzkiego i spokojnie oczekiwał śmierci. Nie buntował się już ani nie próbował się bronić. Nie miał na to siły. Był zbity prawie na śmierć. Czekał tylko, aby go dobić.

Jak dowiedziałyśmy się od Polki, pracującej w biurze politycznym, Wandy Urbańskiej, która była pierwszą Polką, spotkaną w obozie dającą nam różne rady i przestrogi, (o której wspominam na po-

czątku), transporty chorych rozpoczęto już w lutym 1942 r. Po czterech takich transportach, w których wysłano przeszło 3 tysiące Polek, przygotowano w biurze politycznym specjalny pokój, w którym wypisywano formularze zgonu, motywując śmierć atakiem serca lub gruźlicą. Oprócz „transportów chorych”, wykańczano również chore na miejscu w rewirze, żeby przyspieszyć proces wykańczania ludzi. A więc nieszczęśliwe chore dostawały zastrzyki, po których już nie budziły się więcej. Zbrodniarzami tymi w rewirze byli: dr Szydłowski i dr Rosenthal. Była jeszcze jedna osoba w rewirze, o której muszę słów kilka napisać. Była to Niemka, więziarka, która pracowała w rewirze. Nazwiska jej nie znam, na imię miała prawdopodobnie Gertruda, gdyż wołali na nią Gerda. Miała ona w rewirze szczególne zajęcie: dusiła dzieci. Kobiety w ciąży, których także dużo przywozili do obozu, nie oglądały nigdy swoich dzieci. Na krótko przed rozwiązaniem zabierano je do rewiru, gdzie normalnie odbywał się poród, po którym dziecko natychmiast zabierano z pokoju. Dalej już zbrodnicze ręce Gerdy dokonywały reszty. Uduszone dziecko szybko wędrowało do krematorium, matce oznajmiano, że urodziło się nieżywe. Dopiero w roku 1945, kiedy historia wielkich Niemiec chyliła się zupełnie ku upadkowi, kiedy Gerda dawno już siedziała zamknięta w bunkrze wraz z Rosentalem za jakieś szwindle w rewirze, zaprzestano duszenia dzieci. Nie wiadomo, czy dlatego, że przed ostateczną swoją klęską mieli zaprzątnięty umysł czym innym, czy dlatego, że na „stanowisko” Gerdy nie znaleźli

nowej amatorki popełniania zbrodni. Fakt, że kobiety ciężarne, przywożone do obozu w r. 1945, rodziły dzieci na bloku chorych, gdzie zostawiali dziecko i matkę przez kilka dni. Straszny głód i warunki, w jakich musiała żyć matka z nowonarodzonym dzieckiem, doprowadzały do tego, że najczęściej i matka i dziecko umierały.

Blok chorych był takim samym blokiem, jak wszystkie inne bloki mieszkalne, a więc po jednej i po drugiej stronie bloku było po 135 łóżek. Można więc wyobrazić sobie, w jakich warunkach leżały chore, kiedy liczba osób na tym bloku sięgała do siedmiuset. Leżały nieszczęśliwe chore po dwie i trzy na jednym łóżku, bez opieki, załatwiając często swoje potrzeby naturalne w łóżku. Bo cóż miała zrobić taka ciężko chora, która nie mogła o własnych siłach wstać, a pomóc jej nie było komu? Leżały tak w tych brudnych barłogach, głodne, gryzione przez wszy, których w obozie były nieprawdopodobne ilości. W rewirze robiły Polki i Czeszki co mogły, ale ich możliwości były bardzo szczupłe i ograniczone. Zdawało się czasami, że te kobiety dwoją się i troją. Chciały być wszędzie i zrobić wszystko, chciały nieść pomoc i ulgę każdej ale niestety, ta szczupła garstka tych ofiarnych kobiet nie była w stanie ogarnąć tych tysięcy, tysięcy chorych. Na specjalne uznanie za pracę dla chorych w rewirze, zasługuje dr Maria Grabska i Czeszka, której nazwiska nie znam, a która znana była w rewirze jako dr Zdenka. O pracy tych dwóch kobiet będę miała jeszcze okazję napisać słów kilka na końcu, jak

również o pracy dr Zofii Mączki, której działalność w obozie była bardzo piękna.

Minęło pół roku od dnia mojego przyjazdu do obozu. Zmieniło się od tego czasu bardzo dużo. Wiele kobiet zostało rozstrzelanych, wywiezionych do komory gazowej, operowanych, zagryzionych przez psy, zatratowanych na śmierć nogami aufzjerek itd. Jedno tylko zostało niezmiennie: głód, praca nad siły ciężka, po której człowiek nie mógł przewrócić się z boku na bok na swoim barłogu, które nazywano łóżkiem, apele i kary.

Cały mój transport trzymał się razem. Mieszkaliśmy jeszcze wszystkie razem na bloku 13-tym. Po pół roku, pewnego grudniowego dnia, oznajmiła nam blokowa, że nazajutrz nie idziemy do pracy, gdyż musimy przenieść się na inny blok. Ucieszyliśmy się, że chociaż jeden dzień będzie wolny od pracy, ale zaraz potem niepokojące myśli i pytania: Czy przeniosą nas razem na inny blok? czy blokowa nasza pójdzie z nami także, czy musi zostać na dawnym bloku? Nikt nie umiał nam odpowiedzieć na te pytania. Nikt nie wiedział. Zagadnięta w tej sprawie blokowa, wiedziała, że musi zostać na bloku 13-tym, że my musimy iść na inny blok z inną blokową. Znając jednak przywiązanie do niej i sama będąc do nas bardzo przywiązana, nie chciała nas za wcześnie martwić. Dlatego odpowiadała nam wymijająco, ale jej smutny, pełen troski wzrok i pocieszenia, że będzie się starała o otrzymanie naszego bloku z powrotem, powiedziały nam prawdę. Postanowiłyśmy w jednej chwili, że nie pozwolimy się rozbić na małe grupy i porozdzielać na różne bloki.

Chcą nam zmienić blok, niech nam dadzą inny, gdzie będziemy mogli zmieścić się wszystkie razem.

Na drugi dzień, rano, blokowa oznajmiła nam, że każda z nas ma zabrać swoje koce, kraciastą podpinkę, miskę, kubek i wyjść przed blok. Powiedziała nam jeszcze, że do obozu ma przyjść nowy duży transport i dlatego opróżnia się ten blok. Ona musi na razie zostać, choć jej jest bardzo ciężko, ale będzie starała się wrócić do nas. Wiedzieliśmy, że są to tylko słowa pociechy, ale że to nigdy nie nastąpi. Celem Niemców było właśnie wieczne przerzucanie z bloku na blok, mieszanie różnych narodowości i różnego elementu, aby i w ten sposób uprzykrzyć życie więźniom. Nie pozwolić żyć się ludziom, dlatego co kilka miesięcy robili tzw. przez nas „przekładanki” z bloku na blok. Między prostytutki niemieckie zawzione i owrzodzone dawali najbardziej wykształcone, najwięcej inteligentne Polki, Czeszki i inne narodowości. Kobiety skupione w takim środowisku musiały wysłuchiwać wiecznych awantur, ohydnych wyzwisk, często były bite i okradane z ostatniego kawałka chleba, odjętego sobie wieczorem od głodnych ust, aby „przegryźć” coś rano. Chleb w obozie dostawałyśmy tylko wieczorem. Ja zjadałam chleb cały wieczorem. Nie miałam siły dzielić go na dwie małe kromki, aby jedną zostawić na rano. Łatwiej mi było na drugi dzień nie jeść nic do dwunastej w południe, niż wieczorem położyć się spać wiedząc, że tam w pudełeczku leży kromka chleba, a mnie się chce tak strasznie jeść. Och, jeść, jeść. Po nocach śnił mi się smaczny, świeży, pachnący chleb, podczas pracy zamiast stert ka-

mieni, widziałam góry chleba. Zdawało się, że wystarczy ręką sięgnąć, do ust podnieść i jeść, ale przy dotknięciu rozbijało się złudzenie. Palce wyczuwały martwą, zimną bryłę kamienia.

Wyszliśmy przed blok. Każda trzymała w ręku swój skromny dobytek: koce, kratkę, miskę, kubek. Nędznie i śmiesznie wyglądało to małe zawiniątko, trzymane przez każdą z nas kurczowo w ręku, ale dla nas stanowiło to całe bogactwo. Ustawione po dziesięć, czekałyśmy. Była godzina 7-ma rano. Sądziłyśmy, że szybko przydzieli nam jakiś blok, na którym będziemy mogli trochę odpocząć. Ale przecież „pan komendant” wiedział, że nie poszłyśmy tego dnia do pracy, mamy więc czas, możemy czekać. Dzień był zimny, grudniowy, od rana już mżył drobny deszcz. Zimno przenikało szybko przez nasze „pasiaki”, które robiły się coraz więcej mokre, wreszcie poczułyśmy, jak woda zimnymi strumykami cieknie nam po ciele. Plecy kurczyły się od zimna, palce sztywniały, nóg już nie czuła żadna z nas. Deszcz padał bez przerwy. Stałyśmy. Była godzina dwunasta w południe, kiedy przyszła do nas nasza blokowa i pytała z troską w głosie: „Jeszcze wam nikt nic nie powiedział?” I patrzyła po nas wzrokiem smutnym, przez łzy, które starannie chciała ukryć przed nami. Za chwilę, po odejściu blokowej, przeszła przed naszymi szeregami oberyinka i komendant, patrzyli na nas, rozmawiali coś między sobą i poszli dalej, nie zatrzymując się. Serca nasze zabiły żywiej na chwilę. No, może nareszcie przydzieli nam jakiś blok, może skończy się to beznaziejne stanie. Znowu minęło dwie godziny. Żad-

nych zmian. Głód dokuczał już tak silnie, że większość kobiet porzucała swoje „tłumoczki” na ziemię i posiadała na nich, nie mając siły stać. Minęła jeszcze godzina i nie było już żadnej stojącej. Wszystkie siedziały na swoich węzełkach, rzuconych na mokrą ziemię, skulone, trzęsące się z zimna, wsłuchujące się w szum deszczu i kropel płynących bez przerwy po plecach. Myślałyśmy wszystkie o jednym: Kiedy nam przydzielią nowy blok, czy jeszcze dzisiaj, czy może dopiero jutro? Może do jutra będziemy zostawione na pastwę złej nocy, przejmującego zimna i szalejącego deszczu? O, Boże, Boże, jakże bezlitosny jesteś, zamykając się mocno w swoich niebiosach i nie chcąc słyszeć naszych skarg. Ześlij nam śmierć nagłą i niespodziewaną, ale skończ nasze męki. Modliłyśmy się zawsze o odwrócenie nagłej i niespodziewanej śmierci, ale dziś prosimy Cię o nią, jak o jedyne wybawienie. W naszych chorych, rozgorączkowanych mózgach nie było już miejsca na rozumowanie i dochodzenie mądrości i wszechwiedzy boskiej. Wiedziałyśmy tylko, że jesteśmy okropnie krzywdzone i śmiertelnie, nie-ludzko zmęczone, że chcemy odpocząć nawet za cenę życia. Był to jeden z tych nielicznych momentów, jakie czasem nawiedzają człowieka: położyć się, rozprężyć wszystkie mięśnie, zamknąć oczy, przestać myśleć, czuć, pragnąć, marzyć — przestać istnieć. Obrócić się w pył, w nicłość.

Była godzina piąta po południu. Było już zupełnie ciemno. Oświetlone okna bloków śmiały się nam w twarz złośliwie. Grupa zapomnianych kobiet, siedząca na swych nędznych tobołkach na ziemi,

z chciwością wpatrująca się w oświetlone okna bloków. Tam przecież jest ciepło, przyjemnie. I w tej chwili każdy blok wydał nam się rajem cudownym, czymś niedostępnym i niedosiężnym. Byłyśmy prawie przekonane, że nigdy już nie dostaniemy się do tego „raju”, że wiecznie będziemy błdzić bezpańskie i bezdomne, że wiecznie będziemy moknąć w tym drobnym deszczu, aż rozpułniemy się i śladu po nas nie będzie.

Wreszcie o godz. 6-tej wieczorem oberyнка i komendant znowu zjawili się przed naszymi szeregami. Rozmawiali chwilę, po czym komendant odszedł. Oberyнка zbliżyła się do nas i spytała czemu my tu jeszcze stoimy? Odpowiedziałyśmy, że dotychczas nikt nie przydzielił nam żadnego bloku. Nie mamy dokąd pójść. Na twarzy oberyňki widać było jak gdyby jakieś zdziwienie. Powiedziała nam, że zaraz rozejrzy się, na których blokach jest miejsce, żeby nas ulokować. Poszła. Po chwili wróciła, każąc nam iść z sobą. Doszłyśmy do jednego z bloków i tu oberyňka powiedziała: „Do tego bloku może wejść 50 osób, dla reszty znajdziemy miejsce na innych blokach”. Cisza była straszna. Tej ciszy nie zapomnę nigdy. Słysać było tylko miarowy plusk deszczu i przyspieszone bicie serc. Z miejsca nie ruszyła się żadna. Każda patrzyła w ciemną próżnię, przed siebie i zdawała się nie słyszeć słów oberyňki. Żadna nie chciała być jedną z tej pięćdziesiątki. Mimo okropnego zmęczenia i głodu, stałyśmy wszystkie murem, jakbyśmy wrosły w ziemię. Na myśl, że mamy być rozdzielone na małe grupy, przestał nas od razu pociągać ciepły blok,

oświetlone okna, odpoczynek. Nie. Nie chcemy ciepła, wygody, odpoczynku — chcemy być razem. Mamy to jedno skromne wymaganie i od niego nie odstępimy. Na zapytanie zdziwionej oberynki, czemu nie wchodzimy, odpowiedziałyśmy: „Prosimy panią o taki blok, gdzie będziemy mogły zmieścić się wszystkie razem.”

„— Bądźcie rozsądne, mówiła oberynka, nie mam w tej chwili wolnego całego bloku, aby was wszystkie razem ulokować. Musicie na razie zgodzić się na rozdzielenie was po różnych blokach, a później zobaczymy.” Macie chyba dość zimna i deszczu. No, wchodźcie. Milczenie było jedyną odpowiedzią. Oberynka próbowała wepchnąć do środka bloku kilka bliżej drzwi stojących, ale na próżno. Żadna nie pozwoliła ruszyć się z miejsca. Patrzyła na nas wolno, uważnie, przechodziła wzrokiem z twarzy na twarz, a oczy jej odbijały się o nasz wzrok zimny, surowy, nieustępliwy. Wreszcie kazała nam iść z sobą dalej. Weszła na następny blok, z którego po chwili wyszła i powiedziała spokojnie: „Możecie tu wchodzić”. Sądziłyśmy, że tu jest miejsce dla nas wszystkich. Zaczęły wchodzić kolejno na blok pierwsze szeregi. Oberynka stała obok nas i patrzyła. W pewnym momencie zrobiło się jakieś zamieszanie i krzyk. Wychylałyśmy się jedna przez drugą, żeby zobaczyć co się dzieje. Zobaczyłyśmy scenę zabawną. Te, które już weszły na blok, wyskakiwały teraz oknem, z nieodstępnymi tobołkami w rękę. Okazało się, że i na tym bloku było miejsce tylko dla pięćdziesięciu osób. Blokowa wpuszczała pierwszych pięć szeregów i zamykając drzwi,

oznajmiła, że więcej miejsca nie ma. Te, które weszły i zorientowały się, że złapano je w pułapkę, chciały wyjść z powrotem, ale blokowa, stojąca przy drzwiach, nie pozwalała wyjść. Zaczęły więc wychodzić oknami i wyszły wszystkie. Wchodzenie i wychodzenie oknem było surowo wzbronione, ale w tej chwili nikt o tym nie myślał i żadna nie bała się stojącej przed blokiem oberynki, patrzącej razem z nami na odbywające się widowisko. Po chwili byliśmy już znowu wszystkie razem, ale bez bloku. Oberynka stała jeszcze chwilę nic nie mówiąc, wreszcie odeszła wolno w stronę bloku 22. Śledziłyśmy uważnie każdy jej krok. Byłyśmy ciekawe, co robi i dokąd pójdzie. Po długiej chwili przyszła do nas z powrotem i powiedziała krótko: „Zaraz opróżni się blok 22, będziecie mogły tam pójść wszystkie razem”. Byłyśmy tak uradowane, że w tej samej chwili zapomnialiśmy o zmęczeniu, o głodzie, o wszystkim. Śmiałyśmy się i żartowałyśmy głośno, nie licząc się zupełnie z obecnością „pani oberynki”. Wacka Kamola, lublinianka, która na siedzeniu miała duże, głębokie doły, w które mieściła się pięść ludzka, ślady po biciu przez gestapo, dopytywała się, czy nie mamy złotych rybek. Mogła by ewentualnie założyć hodowlę, gdyż w „dołkach” porobiły jej się od deszczu sadzawki. Odpowiadałyśmy z humorem, że rybek nie mamy, ale możemy same występować w charakterze rybek, gdyż po dzisiejszym deszczu czujemy się jak śledzie wymoczone do marynowania. Zrobiło się nagle gwarno i ochoczo w naszej gromadzie i jedna radosna myśl krążyła wśród nas: jesteście wszystkie razem. Obe-

rynka stała obok nas jakaś poważna i skupiona, uśmiechająca się tylko od czasu do czasu na nasze wybuchy śmiechu. Daleka jestem od gloryfikowania wyrozumiałości czy dobroci niemieckiej, bo przecież przez nasze życie obozowe przechodziło tysiące Niemców i Niemek, a nie spotkałam nigdy wśród nich dobrego, rozumnego człowieka. Jedna, jedyna wśród nich, to właśnie ta oberynka. Nazywała się Langefeld. Była to kobieta, licząca około pięćdziesięciu lat, inteligentna, rozumna i dobra. Muszę o tym napisać, gdyż było to tak niezwykle zjawisko, ta jedna normalna kobieta wśród tych wszystkich zbrodniarek i zbrodniarzy, że nie mogłyśmy w to uwierzyć. Czasy rządów oberynki Langefeld były najlepszym okresem życia obozowego. Krótkie apele, mniejsze kary, niekaranie ludzi odbieraniem posiłków itp. Przez cały czas pobytu Langefeld w obozie nie wydarzyło się nic złego. Nastąpiło pewne odprężenie nerwowe, człowiek swobodniej chodził, myślał i mówił. Szkoda, że obecność jej w obozie była tak krótka. Po trzymiesięcznym pobycie jej na tym stanowisku, przesłano ją gdzie indziej. Spadło to na nas jak grom. Wszędzie słyssało się smutne słowa: szkoda, że już jej nie ma. Znowu zaczną się bicie, zaczną się apele, wyszukiwane kary.

Teraz stała Langefeld i patrzyła na nas swymi rozumnymi, poważnymi oczyma. Uśmiechała się do nas przyjaźnie, ze zrozumieniem patrząc na naszą radość. Imponowała jej nasza postawa i solidarność. Z bloku 22 zaczęły wychodzić kobiety. Po wyjściu ostatniej, zaczęłyśmy „zajmować” blok.

Oberynka stała do końca, dopóki na blok nie weszła ostatnia. Patrzyłyśmy oknem na nią, jak chwilę jeszcze patrzyła na blok, później odeszła wolno, ze spuszczoną głową, ciężko i niezdarnie stawiając nogi. Może stojąc wobec okropnych faktów zbrodni niemieckich — wstydziła się za cały swój naród?

Po odejściu z obozu Langefeld, przyszła nowa oberynka — Mandel. Zaczęło się znowu piekło. Mandel była poprzednio zwykłą aufzjerką, pracującą w bunkrze. Praca jej polegała na wykonywaniu kar bicia w bunkrze. Była po prostu katem. Tego rodzaju kobieta, która w normalnym społeczeństwie dawno już zajęłaby miejsce dla niej najodpowiedniejsze — na szubienicy — tu była „lagerführerin“. Jej podwładne i niejako wychowanki, aufzjerki: Hasse, Schuster, Lehmann, Herm, Müller, Neudeck, Bormann, Dittmann, Kopf, Raabe, Borhardt, Böhm i wiele innych, stanowiły komplet tego zespołu mordowania kobiet w obozie. Kiedy Mandel szła ulicą obozową, robiło się nagle pusto. Wszystkie prędko wchodziły do pierwszego lepszego bloku, byle tylko tej diabolicznej zejść z oczu i z drogi. Jeśli która miała nieszczęście spotkać ją kiedy niespodzianie, nie prędko mogła pozbierać myśli i podźwignąć się z ziemi. Mandel umiała kopać i bić. Miała doskonałą rutynę z czasów bicia w bunkrze. Na miejsce Mandel w bunkrze przyszła teraz inna aufzjerka — Binz. Ta zasłynęła od razu, przewyższając o wiele swoim okrucieństwem wściekłą Mandel. Zaczęły się czasy tragiczne. Każdy dzień obfitował w nowe, coraz okropniejsze zbrodnie. Mandel szalała w obozie, Binz — w bunkrze. Parogo-

dzinne apele dziennie, które zaszczycą swoją obecnością „pani Mandel”. Wczorajszy kat z bunkra, dzisiaj „lagerführerin” — pani życia i śmierci. Szła przed naszymi szeregami i nie wiedziała, jak ma nieść ten swój śmieszny łeb na grubym, apoplektycznym karku. Dziewce, która całe swoje życie nie widziała nic prócz wideł, gnoju i bydła, uderzyła do głowy ta nigdy nie marzona, nie oczekiwana władza nad tysiącami kobiet. Toteż używała tej „władzy” w sposób dostępny tylko zwyrodniałemu narodowi niemieckiemu. Nie wyobrażam sobie, żeby podobne zwierzęta mógł wydać na świat jakiegokolwiek inny naród. Każdy taki apel z obecnością Mandel, kończył się pobiciem kilku lub kilkunastu kobiet, które później zabierano na rewir.

Kariera Mandel w naszym obozie skończyła się dość szybko. Po czterech miesiącach gruchnęła nagle po lagrze radosna wiadomość: Mandel odchodzi z obozu, Langefeld wraca! Gdziekolwiek poszło się, czy na ulicę obozową, czy na inny blok, wszędzie pierwsze słowa były: słyszałaś? Langefeld wraca! W całym obozie wyczuwało się gorączkowe podniecenie i radość. Nie chcieliśmy w to z początku wierzyć. Wydawało nam się to fantastyczne i nieprawdopodobne. Ale gdy pewnego dnia zobaczyliśmy Langefeld na ulicy obozowej, jak swoim ciężkim, trochę niezdarnym krokiem przechodziła obok bloków, niespodzianka była tak wielka i radosna, że zatrzymałyśmy się w miejscu i patrzyłyśmy w nią jak urzeczone. Bo przecież żadna z nas nie traktowała poważnie tej plotki o powrocie do obozu Langefeld. Tymczasem nagle zjawia się w obozie,

w momencie, kiedy my przestałyśmy już nawet mówić o niej i spodziewać się. Oberyнка musiała zauważyć nasze zdziwienie i uradowanie, gdyż w odpowiedzi patrzyła na nas swoim dobrym, łagodnym wzrokiem i uśmiechała się nieznacznie, jak gdyby dzieląc naszą radość. Wydawało nam się, że jest bardzo zmęczona i w oczach jej jest więcej smutku niż zwykle. Patrzyłyśmy za nią długo i widziałyśmy, jak od czasu do czasu podniesioną ręką przeciera czoło, jak gdyby chciała odgarnąć z niego przykre i dręczące myśli. Oczywiście zaraz po całym obozie biegałyśmy z tą radosną nowiną, ale to już nigdzie nie było niespodzianką. Wszędzie już wiadano, że Langefeld wróciła.

W obozie znowu zawrzało. Kobiety nabierały głębszego oddechu. Koszmar długich, męczących apeli, niesłuchanych kar, ustąpił miejsca jakiemuś pogodniejszemu spojrzeniu w przyszłość. Rzeczywiście, zaraz na drugi dzień oznajmiono nam, że apeli wieczornych nie będzie. Wystarczy jeden li-czebny apel rano. Nie wolno karać odbieraniem jedzenia. Nie wolno aufzjerkom i SS-manom bić i znęcać się nad więźniarkami. Jeśli aufzjerka uważa, że więźniarka coś zawiniła, to musi na nią złożyć meldunek do oberyнки, która po rozpatrzeniu sprawy, wymierzy karę. Pobita więźniarka ma prawo złożyć zażalenie do oberyнки na aufzjerkę, która ją pobiła. Komentowałyśmy długo te nowe zarządzenia i nie bardzo wierzyłyśmy w ich skuteczność. Oberyнка jest przecież po to, żeby zarządzenia wydawać, a aufzjerki i SS-mani po to, żeby bić, znęcać się i zabijać. Życie teraz poto-

czyło się dużo spokojniej. Częściej słyszało się teraz śmiech w obozie, co dzień była tak zwana „freistunda“, podczas której można było spokojnie pochodzić po ulicy obozowej. Spacery takie urządzałyśmy całymi gromadami, chociaż często nie chciało nam się wychodzić, gdyż byłyśmy zmęczone. Robiłyśmy to jednak specjalnie, żeby Langefeld wiedziała, że skwapliwie korzystamy ze wszystkich jej zarządzeń, a z drugiej strony chciałyśmy nasycić się widokiem wściekłych aufzjerek i SS-manów, którzy musieli patrzeć na nasze roześmiane twarze.

Pewnego dnia, wróciłyśmy jak zwykle z pracy, nie przewidując, że dzień, który upłynął w zupełnym spokoju, skończy się tragicznie. Z bloku piętnastego przybiegły zadyszane dwie kobiety i zaczęły w sposób gwałtowny, bezładny opowiadać, co się dzieje w tej chwili w obozie.

— Znowu biorą na egzekucję — mówiły. — W tej chwili przyszła aufzjerka z biura, z kartką, na której jest 8 nazwisk. Z naszego bloku zabierają Anitę Matyjankę. Aufzjerka chodzi od bloku do bloku i zabiera te, których nazwiska napisane są na kartce.

Słuchałyśmy w skupieniu, uważnie, zebrane wszystkie dookoła mówiących. Gdy skończyły mówić, zaległa nagle śmiertelna cisza, powiało nagle chłodem, jakby między nami przeszedł anioł śmierci. Każda z nas widziała już oczyma wyobraźni głęboką przepaść lasu, nad którym wisiła upiorna, granatowa noc i osiem samotnych, opuszczonych dziewcząt, bezbronnie wstępujących w nieznaną otchłań. I wśród nich Anita, radosna, słoneczna dziewczyna, której oczom nagle wydarto słońce

i napełniono je mrokiem bliskiej, nieuniknionej śmierci. Nie, to niemożliwe. Jakto, tak nagle pójdą same, opuszczone, smutne, w obcy, obojętny las, który nagle rozbrzmi kilkoma salwami, ożyje odebrany życiem ośmiu dziewcząt, zaczną szumić i opowiadać. Czy będą płakać w głuchym, nieczułym lesie, czy modlić się, szukając pociechy w swoim tragicznym, niemym smutku?

Patrzyłyśmy jedna na drugą i w tej chwili zapadła między nami milcząca, niepowiedziana decyzja. Zaczęłyśmy wolno wychodzić z bloku, jedna za drugą, jedna za drugą, wszystkie. Szłyśmy całą gromadą i nie zdziwiłyśmy się wcale, widząc, że nie tylko nasz blok wyszedł na obóz. Zapełniło się nagle kobietami ze wszystkich bloków. Wszędzie komentowano nową zbrodnię Niemców. Tłum tych kobiet stanowił jakąś niesłychaną siłę i groźbę, wyrażaną w zaciśniętych pięściach i ustach, w milczeniu, które było mściwe i złe. Żadna z nas nie mówiła nic. Może nie zdawałyśmy sobie jeszcze sprawy, jak będziemy reagowały w momencie zabierania tych ośmiu. Wiedziałyśmy w każdym razie, że skończyło się nasze bierne przypatrywanie się zbrodniom, popełnianym na naszych oczach. Niech nas wszystkie zabiją, wymordują, niech raz nasycą się swoimi zbrodniami, niech się wykapią w naszej krwi opętani zbrodniarze, ale dość już tego brania po jednej i wyrafinowanego oszukiwania nas, że one idą „na transport”. Wiedziałyśmy dobrze, jak wyglądają te „transporty”. Perfidia Niemców sięgała tak daleko, że dla odwrócenia naszej uwagi, z obawy przed buntem, mówili nam, że

zabierane dziewczęta jadą z transportem do innego obozu, czy więzienia. Ubierali je nawet w czystą bieliznę i sukienki, dawali drewniaki na nogi i paczkę żywnościową „na drogę”. Z chwilą, kiedy znalazły się za bramą obozu, pakowano je do czekającej już „miny” (był to duży samochód, cały kryty, bez okien, olbrzymie, czarne pudło), rozbierano je do koszuli, zdejmowano z nóg drewniaki i zabierano im żywnościową paczkę. Wiedziałyśmy o tym dobrze, gdyż Polki pracowały wszędzie. W kamercie, do której wracało ubranie wywiezionych dziewcząt, w kuchni, do której wracały żywnościowe paczki, a co najważniejsze, w biurze politycznym, w którym wystawiało się później zawiadomienia zgonu. Najgłówniejsze informacje były właśnie z biura politycznego od pracującej tam Wandy Urbańskiej. Oczywiście, że zagłębienie do akt przez pracujące tam więźniarki i, co więcej, wyносzenie tych wiadomości na obóz, było zabronione pod karą śmierci. Ale która z nas bała się śmierci, o którą musiała ocierać się sto razy dziennie, o której myśl była pospolita i nieważna. Która z nas bała się myśli o śmierci, jeśli chodziło o sprawę słuszną i sprawiedliwą? Śmieszne, że Niemcy chcieli nas zastraszyć i przerazić śmiercią, która szalała w obozie wszędzie i o każdej porze, a jednocześnie tym samym ułatwiali nam pozbycie się lęku przed nią. Dzięki temu, że „używali” tę śmierć jako jedyny środek przeciwko wszystkim procesom godzącym pośrednio lub bezpośrednio w ich niemiecki ład i rygor obozowy, spowszedniała nam ta śmierć i zobojętniała zupełnie. Myślałyśmy o niej tak, jak

o jutrzejszej ciężkiej pracy, z niechęcią, ale bez lęku czy przerażenia.

Po półgodzinnym oczekiwaniu, wyrosła nagle przed nami jak spod ziemi aufzjerka Knopf, sama wyglądająca jak śmierć, wysoka, chuda, koścista. Naprawdę, była doskonałym uosobieniem śmierci. Patrząc na nią, zdawało się, że to kościotrup idzie, któremu kość o kość uderza przy każdym ruchu. Nogi stawiała sztywno jak kukła, na cienkiej, długiej szyi niosła swój szkaradny łeb, o długim, haczykowatym nosie. Prowadziła teraz osiem ofiar, rozglądając się wokoło niespokojnie i podejrzliwie. Martwa cisza, jaka zaległa w tej chwili wśród tych tysięcy kobiet, przeraziła ją widocznie, gdyż w pewnym momencie zawahała się iść dalej. Zatrzymała się na chwilę, jak gdyby bała się wejść w tę ciszę. Chciała ominąć ten zły krąg, jaki ją otaczał. Cofnęła się, chcąc przejść drogą między dwoma innymi blokami, ale i tu wyszłyśmy jej naprzeciw. Szłyśmy teraz razem i widziałyśmy wciąż uśmiechniętą, pogodną twarz Anity Matyjanki. Nie mówiła nic. My, milczałyśmy także. Bo i cóż było mówić w tę ostatnią smutną godzinę pożegnania? Kiedy łzy nabrzmiewają pod powiekami i bolą, och jak bolą. Kiedy chciałoby się krzyczeć: stójcie, zatrzymajcie swe nieopatrne kroki, zostańcie tu, niech zabiją was razem z nami. Ale one szły dalej, wolno, jak gdyby z namysłem, przybliżając się każdym krokiem do śmierci.

W ciszy i skupieniu doszłyśmy do kamery, w której miały być przebrane idące rzekomo na transport. Osem dziewcząt weszło, za którymi auf-

zjerka zamknęła drzwi, sama zaś prędko poszła w kierunku biura oberynki. Chciała pewnie wyrzucić z siebie nagromadzony przez całą drogę lęk, chciała pochwalić się, jak to ona bohatercko przeprowadziła osiem kobiet wśród rozszalałych, zbuntowanych kobiet. Nie był to jednak z naszej strony żaden bunt. Było to tylko pożegnanie idących na śmierć kobiet. Była to zwykła manifestacja, którą chcieliśmy okazać Niemcom, że wiemy co znaczą te „transporty”, o których głoszą ich złe, kłamliwe pyski. Nie chcemy być oszukiwane. Umiemy prawdziwie spojrzeć w twarz i zmusimy ich do tego, że pełniąc zbrodnie będą świadomi, że i my o tym wiemy pomimo ich wysiłku oszukania nas.

Oberynki nie było w tym czasie w obozie. Wyszła jej zastępczyni, Galinat. Była to wstrętna, nędzna kreatura, nienawidząca Polek, idąca ślepo za popędem swej nienawiści. Wszystko, co polskie, według jej mniemania, powinno zniknąć z powierzchni ziemi. Szła szybko w naszą stronę, pewna siebie i tego, że zaraz rozprawi się z tą „przeklętą polską bandą”. Tłum kobiet stał spokojnie i cicho przed drzwiami kamery, za którymi stał niepokój i smutek opuszczonych ośmiu dziewcząt. Przebiegano je teraz jak na kpiny po to, by za chwilę, po wyjściu za bramę, zedrzeć z nich wszystko i nagie postawić pod drzewem, pod którym czeka je śmierć.

Galinat popatrzyła na nas wściekłymi, zmrużonymi oczyma i powiedziała: „Czego tu stoicie, rozejść się na bloki”. Nie było odpowiedzi. Żadna nie ruszyła z miejsca. Tylko cisza była głębsza, zwartość silniejsza, ramię do ramienia przyciskało

się coraz mocniej. Galinat podeszła jeszcze bliżej i warknęła znowu: „rozejść się, słyszycie? Przekłete polskie świnię!” Zobaczyłyśmy, jak szybkim ruchem pochyła się i podnosi z ziemi duży kamień, który po chwili zatoczył szeroki łuk i padł między tłum kobiet. Milczenie. Tylko nerwy napięte aż do ostatecznych granic, aż do bólu, tylko usta szybciej chwytają powietrze, tylko nogi niecierpliwie drżały, szykując się do skoku. Drugi i trzeci kamień przeleciał znowu nad naszymi głowami, raniąc którąś z nas. I nagle, niewiadomo kiedy, Galinat znalazła się wśród nas, otoczona ze wszystkich stron, wyrzucając z siebie krótkie zduszone przekleństwa. Później i to ucichło. Próbowwała teraz szukać drogi, którą mogłaby uciec. Napróżno. Wszędzie napotykała na żelazny mur rąk, z których sypały się gęste, ciężkie razy. Mściwe, karzące ręce, podnosiły się w górę i opadały ruchem mocnym, wprawnym, zdecydowanym na przerażoną, tchórzliwą Galinat. Czarna peleryna i czapka zrzuczone, leżały teraz obok. Rozrzucone włosy na nikczemnym, niegodziwym łbie, poszarpane ubranie, wszystko to robiło wrażenie, że Galinat stała się nagle jakimś upiorem, zesłanym na ziemię celem wodzenia ludzi na pokuszenie.

„— Zabić ją” — krzyknęła któraś z tłumu. Nie puścić tej więdźmy żywcem. Niech zobaczy, jak biją „przekłete polskie świnię”.

Nie wiadomo, czy Galinat wyszłaby żywa z tej operacji, gdyby nie to, że nagle jak spod ziemi, wyrosła przed nami Langefeld. Stała spokojnie przyglądając się chwilę uważnie, wreszcie, podchodząc

do nas zupełnie blisko, spytała: — „Co się tu dzieje? Proszę o spokój.”

W jednej chwili stanęłyśmy przed nią, mimowoli opuszczając ręce. Patrzyłyśmy teraz na siebie prosto, twarz w twarz, oczy jej ślizgały się po nas leniwie, wolno, jak gdyby szukając wśród nas winowajcy. Zdawało nam się, że oczy jej są martwe i niewidzące. Zauważyłyśmy jednak, że spostrzegłszy Galinat, odwróciła prędko głowę i starała się utrzymać powagę. Galinat szła jak zbity pies, w kierunku biura. Chwiała się na nogach, wiatr trząsł jej portarganym łbem, gonili ją nasze spojrzenia i uśmiech. Wreszcie uciszyło się znowu. Galinat znikła za drzwiami biura. Langefeld powiedziała do nas poważnie:

„— Proszę iść spokojnie do bloków. Co wy tu robicie?”

„— Chciałybyśmy ostatni raz pożegnać nasze koleżanki, idące na śmierć” — odpowiedziałyśmy.

„— One nie idą na śmierć” — powiedziała cicho — i nagle spłoszone spojrzenie biegło z jednej twarzy na drugą, szukając gdzie mogłoby się zatrzymać, wreszcie wstydliwie zatrzymało się na ziemi. Wszędzie napotkało zimne, odpychające oczy, które rzucały jej w twarz: Kłamiesz! Stała przed nami ze spuszczoną głową, długo błędząc wzrokiem po ziemi, wstydząc się zapewne, że zdemaskowałyśmy jej kłamstwo, którym chciała nas uspokoić. Zrozumiała może, że my nie chcemy spokoju za cenę ohydного kłamstwa. Długo nie mogła podźwignąć głowy. Zdawało się, że oskarżający wzrok tysięcy kobiet przytłacza ją ciężko. Znała nas przecież. Wie-

działa dobrze, że do niej jednej mamy zaufanie, że jej wierzymy. A teraz? Ona sama przeszła obok tego zaufania lekkomyślnie, obojętnie, przekroczyła granicę czegoś, czego nigdy już nie będzie można cofnąć ani odwołać. Słowo rzucone nieopatrnie stało teraz między nami przepaścią, której nie przekroczy nigdy żadna z nas. A przepaść rosła w ciszy zaczepnej i ciężkiej. Kiedy wreszcie znowu podniosła oczy zobaczyłyśmy, że są jak dawniej, przedtem, łagodne, poważne i dobre. Zdawało się, że chce nam powiedzieć: ja przecież inaczej nie mogę. Nie mogłam powiedzieć wam prawdy.

„— Proszę, rozejdźcie się spokojnie do bloków” — powiedziała Langefeld. „Czy nie zdajecie sobie sprawy gdzie jesteście i jakie konsekwencje mogą być waszego buntu?”

W głosie jej była głęboka troska i poważna, nieśmiała prośba. Chwilę znowu trwało milczenie, aż wreszcie odpowiedziałyśmy, że to nie był żaden bunt. Nie miałyśmy zamiaru wszczynać buntu. Wyszłyśmy cicho i spokojnie, aby w skupieniu pożegnać nasze koleżanki, idące na śmierć. Zostałyśmy zaczepione i napadnięte, obrzucone kamieniami przez Galinat. Broniłyśmy się tylko, nic więcej. — Więc proszę — mówiła znowu — rozejdźcie się spokojnie i cicho do bloków. Proszę, rozejdźcie się — powtórzyła.

Zaczęły rozstępować się pierwsze szeregi, za nimi następne i wkrótce plac obozowy opustoszał. Wszystkie wróciłyśmy do bloków. Czekałyśmy teraz z niecierpliwością następnego dnia. Wiedziałyśmy dobrze, że ten rzekomy „bunt” nie przejdzie

nam tak „na sucho”. Spodziewaliśmy się jakichś kar i represji. Przede wszystkim, zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że Niemcy za wszelką cenę będą chcieli dowiedzieć się, skąd przyszła do obozu wiadomość o odbywających się egzekucjach, które oni starali się przed nami ukryć.

Nazajutrz, jak zwykle, wyszliśmy rano z bloku na apel liczebny. Dzień wstawał gnuśny, mglisty, zimny. Po obozie rozeszła się nagle wiadomość, że na apelu obecna będzie oberynka i komendant. Pomysłaliśmy, że będzie na pewno ogłoszenie kary, w związku z wczorajszym zajściem. Po przeliczeniu przez aufzjerki wszystkich bloków, zaczęła chodzić oberynka z komendantem. Stawała przed blokiem i mówiła krótko do zebranych tam więźniarek: „W związku z wczorajszym zajściem, chcę wam powiedzieć, że tym razem unikniecie kary dlatego, że było to po raz pierwszy. Mam nadzieję, że podobny wypadek nie powtórzy się. Pamiętajcie, że jesteście w obozie koncentracyjnym. Ostrzegam was, że każde następne usiłowanie wszczęcia jakiegokolwiek buntu będzie karane śmiercią. Dzięki wyrozumiałości władz obozowych, tym razem dajemy wam za wczorajsze zajście surową naganą. Możecie wejść do bloku”. Wiedzieliśmy dobrze, że „wyrozumiałe władze obozowe”, to znaczy ona jedna, nikt więcej. Później dopiero dowiedzieliśmy się jaką walkę musiała stoczyć Langefeld z komendantem i z komisarzem biura politycznego Ramdorem, o niekaranie nas i spokój. W każdym razie, odetchnęliśmy z ulgą słysząc, że tym razem skończyło się na upomnieniu nas. Tego samego dnia, po powrocie

z pracy dowiedziałyśmy się, że Galinat ma zdjęty z rękawa srebrny pasek i dostała czternaście dni bunkra za wywołanie wczorajszego zajścia. Zdegradowano ją na zwykłą aufzjerkę. Przestała być viceoberynką. Z tego powodu była w obozie wielka radość. Komentowano wszędzie na swój sposób to niezwykle wydarzenie i wszędzie widziano w tym robotę Langefeld. Już następny dzień pokazał nam, że domysły nasze były słuszne. Znowu po powrocie z pracy, spadła na nas hiobowa wieść: Langefeld aresztowana. Komisarz Ramdor i komendant „podstawili” jej nogę w Berlinie. Zrobili donos, że faworyzuje Polki, jest dla nich za wyrozumiała i za łagodna, nie karze buntów i demonstracyj obozowych. Jak się później okazało, Langefeld staczała zaciętą walkę z Ramdorem i adiutantem o to, aby im wykazać i udowodnić, że nie nas należy ukarać za wczorajsze zajście, tylko Galinat. Że to ona winna ponieść całkowite konsekwencje za wywołanie awantury. Wreszcie dopięła swego. Galinat została ukarana, ale przeciwko Langefeld od dawna już różni zbrodniarze obozowi zbierali materiały obciążające, aby w odpowiednim momencie zadać cios ostateczny. Tym dopełniającym ciosem było właśnie to demonstracyjne zajście. Ci niemieccy bandyci nie mogli znieść obecności jednego przyzwoitego człowieka wśród nich. Człowieka, który nie kradł, a oni kradli, który nie mordował, a oni mordowali. Była im niewygodna i niepotrzebna. Trzeba było pozbyć się jej za wszelką cenę.

Tego samego dnia, co Langefeld, aresztowano również Polkę pracującą w biurze politycznym,

Wandę Urbańską. Było to dnia 20 marca 1943 roku. Władze niemieckie zorientowały się, że musi ktoś wynosić „zakazane” wiadomości z biura politycznego. Wanda Urbańska została zamknięta w bunkrze. Był to murowany domek, częściowo znajdujący się w ziemi. Małeńkie cele z pryczą, umywalnią i ubikacją. Przez osiem dni nie dostała kompletnie nic do jedzenia ani picia. Nawet woda w umywalni i w ubikacji została zamknięta z obawy, aby nie pokusiła się stamtąd napić. Z pryczy nie wolno jej było również korzystać. W celi było ciemno dzień i noc. Za małym, zakratowanym okienkiem zamknięta była okiennica, żeby nie przedostało się najmniejsze światło w dzień. Po ośmiu dniach dostała po raz pierwszy gorącą zupę. Była tak zziębnięta, że pomimo głodu, nie jadła od razu, tylko przyciskała gorącą miskę do siebie, żeby się trochę ogrzać. Tę zupę dostawała później przez cały czas pobytu w bunkrze raz na cztery dni. Po ośmiu tygodniach wzięto ją po raz pierwszy na przesłuchania, prowadzone przez komisarza Ramdora. Komisarz Ramdor był w biurze politycznym po to, żeby prowadzić sprawy więźniów, wykrywać jakieś zakazane rzeczy w obozie, badać, dochodzić, karać „przestępców” itd. Był on urodzonym zbrodniarzem i sadystą. Przesłuchania prowadzone przez niego były makabryczne. Ramdor wpadał w szal. Piana występowała mu na usta, zaczynało się znęcanie nad ofiarą. Bił, kopał, za włosy chwycił, ciągnąc po ziemi przez kilka minut, wkładał palce przesłuchiwanej między drzwi i przyciskał, wbijał za paznokcie szpilki — i wreszcie dusił. Jeśli nie pomagały te „niewinne” tortury,

Ramdor stosował bicie w kaźni, znajdującej się także w bunkrze, zimne tusze, zastrzyki oszałamiające, które miały na celu wywołanie od oskarżonej zeznań, oraz tzw. „pompowanie wodą”. Wyglądało to w sposób następujący: nieszczęśliwej wiązano z tyłu ręce i kładziono ją na ziemi. W otwarte usta wkładali gumowy hydrant, przez który pompowali w ofiarę wodę. Po kilku sekundach leżąca nie podobna już była do człowieka, tylko do olbrzymiego balona. Naturalnie, po kilkugodzinnej męczarni umierała.

Wandę Urbańską oskarżał Ramdor o przeglądanie akt, o rozgłaszanie oskarżeń gestapo i o uprzedzanie Polek mających wyroki śmierci. Zależało mu głównie na tym, co ona wie o egzekucjach, kiedy i komu donosiła sprawy znajdujące się w aktach i jaki był jej udział w manifestacji, urządzonej 18 marca 1943 r. wieczorem, jako protest przeciw nowym egzekucjom. Podczas całego przesłuchania, trwającego trzy godziny, pomimo straszego bicia, jakie dostała i osłabienia z głodu, nie przyznała się do stawianych jej zarzutów. Wówczas wściekły Ramdor obiecał jej, że „przyjdzie czas, kiedy mu wszystko wyśpiewa, nie tylko opowie”. Po tym przesłuchaniu pozostała jeszcze 1 tydzień w bunkrze, po czym zwolniono ją na blok z tym, że nie wolno jej było pracować w żadnym biurze obozu. Wanda Urbańska w dalszym ciągu pozostawała pod obserwacją Ramdora.

Tymczasem w obozie zaszły wielkie zmiany. Langefeld już nie było i po lagrze krążyła uporczywie plotka, że na stanowisko oberynki przyjdzie aufzjerka z bunkra — Binz. O Langefeld dowiedzia-

łyśmy się wkrótce, że miała ciężką przeprawę w Berlinie i ledwie wyszła cało z tej opresji. Ale wyszła, z tym, że do obozu już wrócić jej nie było wolno.

Plotka o Binz, jako oberynce, powtarzała się coraz częściej. Zaczynałyśmy w to wierzyć i wewnętrznie przygotowywać się na ten cios. Było to coś najgorszego, co mogło nas spotkać. Widocznie tak już miało być przez cały czas naszego życia obozowego, że za jedną pogodniejszą chwilę, za jeden szerszy oddech, za jeden mały uśmiech słońca — miałyśmy potem płacić straszliwą cenę długich, koszmarnych dni, przez które szerokim nurtem płynęła krew ludzka ze śmiercią.

Pewnego dnia wyszłyśmy rano, jak zwykle, na apel. Stałyśmy spokojnie i cicho, każda pogrążona w własnych myślach. Obóz nie otrząsnął się jeszcze z nocnego snu, bloki wyglądały jak kurne, drzemiące chaty, z daleka dochodziło ujadanie psów. Zdawało się, że za chwilę gdzieś kogut zapieje i wiatr przyniesie wesołą, beztroską piosenkę chłopca, gnającego krowy na pastwisko. Męczyło duszę pragnienie przypomnienia jakiejś cudownej, barwnej sielanki wiejskiej, choćby to przypomnienie miało być bolesne, niech tam. Któraś obok mnie modliła się pokornie, ufnie, cicho, inna szukała konstelacji gwiazdnych na niebie, a ja zamykałam oczy i wchłaniałam w siebie męczącą wizję zapomnianych krajobrazów wiejskich. Ten urok, w którym stały wtulone małe bloki, wyglądające jak smętne, poleskie chaty, mgły, z których leniwie wyłuskiwała się ziemia, cisza, z oddali której dochodziło tylko ujadanie psów — to wszystko, to wszystko odrywało mnie od

rzeczywistości i przepelniało krótkim, niewypowiedzianym szczęściem. Otwierałam oczy i fala goryczy zalewała mi serce. Rzeczywistość. Znowu zamykałam prędko oczy, żeby raz jeszcze przywołać ten obraz. Raz jeszcze usłyszeć dzwonki pasących się krów, raz jeszcze wyciągnąć się z rozkoszą w świeżym, pachnącym sianie i pozwolić myślom płynąć, płynąć bez końca. Położyć się leniwie w bujnej, zielonej trawie i patrzeć jak słońce nade mną krąży, jak się przybliża, a potem oddala — och Boże, jeszcze jeden raz w życiu móc tak patrzeć na słońce i żałować, że się już oddala. Jeden raz.

Syrena oznajmiła koniec apelu. Wyrwana ze swoich snów, myślałam z goryczą. Zaraz będę miała sielankę wiejską. Będzie i słońce i pole i psy gryzące nogi, a na dodatek do tej „sielanki” będzie aufzjerka, waląca w twarz, jak się patrzy. Zatopiona tak w niewesołe myśli, szłam długo przez ulicę obozową, szukając swojej kolumny pracy. Wciąż zdawało mi się, że jestem już za daleko, to znowu za blisko, wracałam się i znowu szłam naprzód, aż wreszcie okazało się, że moja kolumna już dawno poszła do pracy. Chwyciła mnie na środku ulicy obozowej jakaś aufzjerka i za karę kazała mi iść do pracy z kolumną, która opróżniała olbrzymie kotły z kału ludzkiego. Były to kotły odpływowe kanalizacji obozowej. Każda z nas miała taczki, do których musiała nalewać łopatą kał z kotła, następnie pełną tacekę wiozła kawałek drogi i wylewała zawartość do dużych, specjalnie w tym celu kopanych, dołów. Kolumna ta w obozie była kolumną karną. Oberyńska, komendant, lub jakaś aufzjerka przydzielali do

tej kolumny za jakieś przewinienie. Zrozumiałe, że amator „na ochotnika” nie było. W kolumnie tej element był okropny. Przeważnie jakieś niemieckie prostytutki, kilka cyganek, złodziejki i wreszcie między nimi kilka „pereł”. Trzy, cztery inteligentne Polki, wyrzucone z kuchni, czy z kamery za pomaganie innym, za „niewłaściwe” zachowywanie się na apelu i za inne głupstwa. Szły w tej gromadzie odosobnione, przerażone, patrzące na resztę ze wstrętem i odrazą. Przy tym ten straszny smród, który wnętrzości ciągnie aż do gardła. Kiedy wzięłam do ręki łopatę, aby napełnić swoją taczkę, pociemniało mi w oczach. Zachwiałam się lekko i oparłam o wbitą w ziemię łopatę. Czułam, że dzieje się ze mną coś niedobrego, dostałam okropnych torsji. Niemka, stojąca najbliżej mnie, powiedziała ostrzegawczo: „Uważaj, żeby aufzjerka nie zobaczyła tego, bo cię utopi w kale”. Popatrzyłam na nią, jak na wariatkę i spytałam: „Za co?”

„— Jaka ty jesteś głupia” — odpowiedziała. „Ona” jest świnią. Za byle głupstwo każe topić w kale. Nie podoba jej się na przykład, że za wolno to robisz, albo, że się brzydzisz i każe cię utopić, albo sama cię wepchnie. U nas było już kilka takich wypadków. Ty jesteś pierwszy dzień, to nic nie wiesz, ale poczekaj, jak pochodzisz dłużej.”

Pomyślałam sobie, że prędzej ona zdechnie, jak ja tam jeszcze raz pójde i zaryzykowałam pytanie: „—Nie chciałybyś nalewać za mnie dzisiaj do taczki? Jak wrócimy do obozu, przyjdiesz ze mną na blok, dam ci moją porcję chleba. Ja i tak nie będę mogła dziś jeść.”

Widziałam jak Niemce oczy zabłyśły. Jej wiecz- nie głodny, spragniony pysk nie znał i nie tęsknił za niczym więcej poza żarciem. Mogły ją żreć wszy mogli ją bić w mordę pięścią całe życie — to wszystko było nieważne i bez znaczenia. Jedyłą jej tro- ską i myślą było: żreć! Teraz więc obejrzała się trwożliwie na aufzjerkę, która stała o kilkadziesiąt kroków od nas i z zajęciem rozmawiała z jakimś SS-manem. Na nas nie zwracała w ogóle uwagi. Niemka zaczęła szybko nalewać kał do mojej taczki, oglądając się z lękiem co chwila, każąc mi uważać na aufzjerkę. — „Żeby nie widziała, bo cię w kale utopi” — mówiła.

Przerażało ją pewnie nie tyle utopienie mnie w kale, ile stracona porcja chleba, o której zapewne Niemka myślała cały czas, gdyż pracowa- ła zawzięcie, z takim rozmachem, że kał rozpryskiwał się na wszystkie strony. Uważa- ła pilnie na aufzjerkę, ale ta była tak zajęta swoim adoratorem, iż mam wrażenie, że koniec świata nie wyrwałby jej z tego półprzytomnego stanu. Historia napełniania taczek powtarzała się kilka razy. Zawsze, gdy przysła moja kolej, Niemka napełniała swoją i moją taczkę. Potem już musiałam sama wieźć napełnioną taczkę do dołu, gdzie trzeba było ją wypróżnić. Niemka znowu wypróżniała obydwie taczki. W pewnym momencie, jadąc z pełnymi taczkami chyba dzie- siąty raz, usłyszałam na początku naszego szeregu jakiś krzyk. Zrobiło się nagle okropne zamieszanie i straszny, nieludzki, rozdzierający krzyk i wzy- wanie pomocy. Ponieważ szłam jako jedna z ostat-

nich, postawiłam szybko swoją taczkę i pobiegłam naprzód, żeby zobaczyć, co się dzieje. To, co zobaczyłam, było potworne. Jedna z cyganek została wepchnięta do dołu napełnionego kałem, zanurzona już po szyję, ostatkiem sił widać trzymała się jeszcze brzegu, kurczowo wpijając palce w ziemię. Pokłóciła się podobno z drugą, która ze złości wepchnęła ją do dołu. Patrzyłam, jak reszta kolumny zebrana dokoła nieszczęśliwej stoi i bierze przygląda się wypadkowi, obojętnie słucha straszliwego krzyku tonącej. Był w tej bierności jakiś okrutny, nieunikniony wyrok: zginiesz. Na nic nie zda się twój krzyk. Nie pokonasz śmierci, która czeka na ciebie w tym ohydny dole z kałem. Nadbiegała, zaalarmowana już wypadkiem, auzjerka. Zaciskała ze złości pięście, oczy jej błyszczały gniewem, z ust padały krótkie, urywane przekleństwa. Dla niej nie było ważne w tej chwili to, że w tak okropny sposób ginie jakaś kobieta, tonie człowiek, rozpaczliwie, ostatkiem tchu wzywający ratunku. Najważniejsze było dla niej to, że przerwano jej tak świetnie zapowiadający się romans. Taka okazja może się już nieprędko nadarzyć. I tu naraz idiotyczny wypadek, który jej zabrał obiecujący uśmiech i słowa SS-mana. Musiała go zostawić i przyjść tutaj. Słuchała nieuwważnie, z roztargnieniem sprawozdania zajścia. Wreszcie doszła do nieszczęśliwej, której kał sięgał już do ust i pochylając się zaczęła wyrzucać z siebie obelgi i wyzwiska. Widocznie osądziła, że topiąca się najwięcej tu zawiniła i całą złość wylevała na nią. Gdy tonąca wydobywała z siebie

ostatni krzyk, ostatnią rozdzierającą prośbę o pomoc, gdy obłąkane oczy, wysadzone na wierzch przerażeniem zaczęła zalewać cuchnąca ciecz, a ręce w dalszym ciągu trzymały się kurczowo brzegu dołu, aufzjerka zaczęła z pasją deptać jej po palcach, które po chwili puściły brzeg i znikły wraz z całym ciałem pod powierzchnią śmierdzącej, ohydnej masy kału. Na powierzchni zostało tylko kilka kręgów, jako drobny ślad zaginionego istnienia ludzkiego. Byłam tak przerażona tym wypadkiem, że nie mogłam się ruszyć z miejsca, nie zauważyłam, że moja kolumna ustawiona w szereg, rusza do dalszej pracy, jak gdyby nic nie zaszło, jak gdyby tam w dole nie leżał człowiek, który dusi się kałem i wzywa pomocy. Z tej drętwości wyrwał mnie dopiero wstrętny, krzykliwy jazgot i śmiech zapijacznej, ochryplej dziewczki: „Chcesz i ty tak popłynąć? Jazda do pracy, czego stoisz?” Spojrzałam nieprzytomnym wzrokiem na stojącą przede mną aufzjerkę i w pierwszej chwili nie zrozumiałam, czego ona chce ode mnie. Dopiero, gdy zobaczyłam ustawiony szereg kobiet, gotowych do marszu, zrozumiałam, że czekają na mnie, że muszę znowu wziąć swoją taczkę i dalej wozić kał, w którym później znowu znajdzie śmierć jakaś ofiara.

Tego dnia, po powrocie do obozu, długo nie mogłam otrząsnąć się z wrażenia po wypadku tej okropnej śmierci. Noc miałam ciężką, pełną męczących snów. Wciąż widziałam obłąkane oczy tonącej cyganki i słyszałam krzyk, który mnie budził. Rano obudziłam się z temperaturą, trudno mi było wstać z łóżka. Blokowa radziła mi, żeby pójść do

rewiru. Czułam się rzeczywiście tak źle, że o pracy tego dnia nie mogłam nawet myśleć. Po apelu poszłam do rewiru. Patrzyłam z przerażeniem na niekończące się szeregi pacjentek. Szare, wychudłe twarze, z których spoglądały głodne, śmiertelnie smutne i zmęczone oczy. Stałam spokojnie w kącie i czekałam na rozpoczęcie „wizyt”. Wreszcie przyszedł dr Rosenthal. Zaczęły się „badania”. Przyczajona cichutko w kąciku patrzyłam, jak stara, może sześćdziesięcioletnia kobieta pokazywała lekarzowi okropny, wielki wrzód na plecach, między łopatkami. Zaszwargotał coś niezrozumiałego, później kopnął ją tak, że nieszczęśliwa kobieta wywinęła nogami w powietrzu kilka razy i potoczyła się pod ścianę, nie mogąc się podnieść. Pan doktor uznał, że to jest za mało ważne, żeby mu głowę zawracać głupimi wrzodami. Co to za choroba? Z szeregów zaczęły się szybko i nieznacznie wy-suwać te, które miały jeszcze trochę siły, aby odejść. Bały się takiej „pomocy” lekarskiej. Inne, którym już było wszystko jedno, opierały się o ścianę i opuszczały głowę nisko z jakąś beznadziejną rozpaczą. Z rezygnacją czekały swojego losu, jak czegoś nieuniknionego. Nie czekając na swoją kolej, opuściłam prędko rewir. Byłam już zupełnie zdrowa. Stanowczo nie potrzebna mi była żadna pomoc lekarska. Wyleczył mnie od razu widok starej kobiety, padającej pod ścianę, jak piłka wyrzucona wprawną ręką gracza. Wróciłam na blok i tego dnia nie poszłam już do pracy. Na bloku było cicho i spokojnie. W sypialni spały te, które wróciły rano po nocnej pracy, a w jadalni stare i niezdolne do

innej pracy kobiety, robiły pończochy na drutach. Weszłam do sypialni, z zamiarem położenia się, aby trochę odpocząć. Leżałam chwilę na łóżku, goniąc sennie rozbiegające się myśli. Usłyszałam jakiś szmer dochodzący z jadalni. Domyśliłam się, że kobiety modlą się. W jakiś dziwny sposób działały na mnie słowa modlitwy, dochodzące do mnie tylko urywkami. Było mi dobrze, spływał na mnie jakiś spokój wewnętrzny. Dawno nie widziana twarz matki, stanęła mi znowu przed oczyma i zapomniane słowa: „Ojcze nasz, któryś jest w niebie,” stały się znowu żywe i drogie. Zeszłam z łóżka i przyszedłam do jadalni, aby pomodlić się trochę wspólnie. Spragniona byłam tej atmosfery modlitwy zbiorowej. Nastrój był jakiś skupiony i podniosły. W kącie, pod oknem zrobiony był maleńki ołtarzyk. Obrazek Matki Boskiej, ubrany kilkoma zielonymi gałązkami świerku. Była cisza, w którą tylko od czasu do czasu wpadały słowa poważne, proste: „...i odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom”. Czy my odpuszczimy kiedy naszym winowajcom? Czy człowiek zdolny jest zapomnieć i przebaczyć kiedykolwiek tyle zbrodni i krzywdy? Czy można pozbyć się tej strasznej nienawiści, jaka nagromadziła się w sercu przez kilka długich lat i stawała się coraz większa? Może Bóg potrafi przebaczać, ale ja nie umiem i — nie chcę! Nigdy. Czy matka, na oczach której zbrodniarze niemieccy męczą i zabijają jej dziecko, zdoła się na to, aby spokojnie otrzeć łzy i powiedzieć: „Przebaczam im?” W imię czego miałyby przebaczyć tym krwawym zbirom. Jeśli Bóg może,

niech im tego nie pamięta, ale to nie jest w granicach ludzkich możliwości. Zastanawiałam się teraz nad słowami modlitwy, które zawsze mówiłam właściwie bezmyślnie, z przyzwyczajenia. Dziś wciśnięta w kąt pokoju „jadalnego“, modliłam się, rozumiejąc słowa modlitwy. Kiedy doszłam do miejsca, gdzie miałam „odpuszczać winy,“ zrozumiałam nagle, że słowa modlitwy są mi zupełnie obce, niemal wrogie. Jakto? Ja miałabym przebaczyć? Stało mi przed oczyma całe życie obozowe. Obrazy męczonych i katowanych kobiet przesuwają się wolno, w całej swojej grozie i ohydzie, przecząc słowom modlitwy twardym, nieubłaganim: Nigdy! Nie przebaczę! Przemknęła mi przez głowę ta myśl, jak błyskawica, wypalając w sercu krwawą bolesną ranę. Modlitwa gdzieś zniknęła, myśli się rozbiegły, trudno je było dogonić i zebrać w jakąś całość. Poczułam nagle osamotnienie i pustkę, od której wiało chłodem. To, co stanowiło dotychczas treść mego życia, co wpajano we mnie od urodzenia, to, co otrzymałam jako spuściznę krwi po moich przodkach, opuściło mnie nagle i odeszło ode mnie w sposób niezrozumiały. Nie umiałam już modlić się dalej. Nie mogłam już szukać pociechy nawet w modlitwie. Jedna myśl krążąca uparcie w moim mózgu: Nigdy nie przebaczę! Przerażona tą pustką, jaka wytworzyła się dokoła mnie, patrzyłam na modlące się kobiety, patrzące w głąb swojej duszy z wiarą i ufnością. Był moment krótkiego, głębokiego żalu za tym, co ode mnie odeszło. Modlitwa skończyła się już dawno. Jeszcze tylko jedna stara kobieta klęczała przed stolikiem, na którym zrobiony był

prowizoryczny ołtarzyk. Kończyła widać swoją modlitwę. Nagle, zupełnie nieoczekiwanie otwały się drzwi z korytarza i do pokoju wszedł komendant obozu, Suryn i nowa oberynka, Binz. Blokowa krzyknęła: „Achtung!“ Wszystkie stanęły na baczność. Kobieta modląca się, nie zdążyła podnieść się z kolan. Komendant i oberynka dopadli do niej, jak dwa wściekłe psy. Binz podnosiła za włosy z klęczek kobietę, a komendant tymczasem szalał nad obrazkiem Matki Boskiej. Zrzucił go na ziemię i nogami deptał w jakiejś dzikiej furii. Znęcał się nad kawałkiem papieru, który mu przecież w niczym nie zagrażał, ani nie przeszkadzał. Po ukończonej operacji z obrazkiem, zwrócił się teraz „pan komendant“ do kobiety, która stała spokojnie i czekała na wyrok. Popatrzył na przyszyty do sukni czerwony trójkąt z literą „P“ i powiedział z ironią: „Polin“. Dwa głośnie uderzenia, wymierzone w twarz kobiety odbiły się głośnym echem wśród nieruchomej, nieznosnej ciszy.

„— Co robiłaś przed chwilą, głupi śmieciu“? — zapytał komendant.

„— Modliłam się“ — odpowiedziała kobieta spokojnie.

„— Do kogo modliłaś się“ — zapytał znowu z hamowaną wściekłością.

„— Do Boga“ — odpowiedziała, patrząc mu w oczy prosto i poważnie. Głośny, pijacki śmiech był odpowiedzią na jej słowa.

„— Do Boga się modlisz“ — powiedział — śmiejąc się bez przerwy. „Tu, do mnie masz się modlić, głupia polska świnió. Ja jestem teraz Bogiem. Przede

mną na kolana i mnie błagać. Ja jeden mogę ci życie darować jeśli będę chciał. Na kolana przede mną, słyszysz!"

Kobieta stała przed nim prosta jak topola, spokojna, tylko głowę podniesioną miała wyżej, niż zwykle. Komendant widząc, że kobieta nie ma wcale ochoty klękać przed nim, chwycił ją za włosy i rzucił na ziemię. Następnie zaczął ją kopać z taką samą wściekłością, jak kopał przed chwilą małeńki obrazek Matki Boskiej. dzielnie pomagała mu w tym oberynka. Kiedy komendant zmęczony stawał chwilę spokojnie, wtedy puszczała w ruch swoje nogi panna Binz. Dłuższą chwilę kopali na zmianę nieszczęśliwą kobietę, aż wreszcie komendant zapytał ją:

„— O co modliłaś się, ty śmierdzące polskie bydle, o przegraną Niemiec — co? Wy wszystkie modlicie się o jedno, żeby Niemcy wojnę przegrali. Mów, o co modliłaś się?"

„— O opiekę nad dziećmi, które zostawiłam" — mówiła głosem wolnym, cichym, zmęczonym. „O powrót do kraju..."

„— Do jakiego kraju" — warknął komendant.

„— Do mojego" — odpowiedziała głośno. Do Polski!

„— Dam ja ci Polskę, ty głupia świniu" — wrzeszczał — „kłamiesz, mów prawdę, modliłaś się o przegraną Niemiec. Wy wszystkie jednakowe. Wy, polska przeklęta banda. Fanatische Polinen" — zakończył.

Patrzył teraz kolejno po nas wszystkich, jak gdyby szukając wrażenia swoich słów. Z oczu naszych chciał wyczytać widocznie, która jeszcze ośmieliła

modlić się o przegraną Niemiec. Szukał tej winnej, która swoją modlitwą może przyspieszyć i pogłębić ich klęskę. Bało się niemieckie ścierwo tej modlitwy i Boga, którego nienawidził i którym pogardzał, Boga, którego nie znał, a który był dostępny tym tysiącom kobiet, które ośmielają się poza jego „wielkością” szukać innej prawdziwej Wielkości. Jakiegoś Boga. Może dlatego tak strasznie Go nienawidził w tej chwili, że czuł, jak gdzieś spod nikczemnego serca wypęła lęk i przerażenie przed tą nieznaną, niezbadaną Wielkością. Wielkość, którą profanował każdym słowem i czynem, po której deptał swoimi chamskimi butami, dusiła go teraz przerażeniem i stawiała przed nim prawdziwa i groźna. Stałam, wciśnięta w kąt i patrzyłam na komendanta, na jego kaprawe ślepie przerażone i błędne. I nagle przyszły mi na myśl znowu słowa modlitwy: „i odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom...” Prześladowały mnie te słowa i uparcie wracały do moich myśli. Komendant podszedł jeszcze do leżącej kobiety, kopnął ją kilka razy i powiedział: „Wstawaj, pójdziesz z nami. Tam będziesz śpiewać, o co modliłaś się, ty polska świnió”. Kobieta nie ruszyła się. Oberynka doszła do niej i chwyciła ją za włosy. Wlokła ją tak przez cały blok, później próbowała podnieść ją do góry ciągnąc za włosy, ale na próżno. Stała nad nią zmęczona i nie wiedziała, co ma zrobić. Wreszcie zwróciła się do nas i kazała nam odprowadzić nieszczęśliwą kobietę do biura. Stała i patrzyła jak cucimy zemdloną, jak nacieramy jej skronie wodą, wreszcie kobieta otworzyła oczy.

Kilka z nas dźwignęło ją w górę, trzymając ją mocno pod ręce. Wolno, krok za krokiem, odprowadzałyśmy ją do biura. Za nami szedł komendant i oberynka. Po wprowadzeniu jej do pokoju, kazano nam odejść. Po dwóch tygodniach pobytu jej w bunkrze, gdzie dostała pięćdziesiąt batów, wypuszczono ją z powrotem na blok. Opowiadała nam później, że biciem chcieli koniecznie wymusić na niej zeznania, że modliła się o przegraną Niemiec. Wtedy mieliby uproszczone zadanie. Byłby to dostateczny powód, żeby jedną więcej wywieźć do lasu i zabić. Kobieta jednak cały czas twierdziła, że modli się zawsze, tak jak modliła się w czasie pokoju o opiekę boską. Tym bardziej, że teraz zostało w domu czworo dzieci bez opieki. Mąż zginął na wojnie, ją aresztowali, a dzieci zostały same. Modli się więc o to, aby mogła do nich wrócić i żeby Bóg dał, aby dzieci mogły przetrwać ten ciężki okres. Po kilkakrotnym biciu, mówiła zawsze to samo. Zwolnili ją wreszcie na blok.

Przyszło to, czego tak bardzo obawiałyśmy się. Plotka o tym, że Binz ma być oberynką obozu, stała się rzeczywistością. Obawy nasze były słuszne. W obozie każdy dzień teraz wstawał ciężki i męczący. Budziła nas często w nocy okropna świadomość jutrzejszych krwawych wydarzeń. Bo przecież każdy dzień z obecnością Binz był nową torturą. Postać tego krwawego kata o jasnych włosach i niebieskich oczach budziła nas często w nocy jakimś okropnym, męczącym snem.

Pewnego dnia, wracając z pracy, dowiedziałyśmy się, że z jednej kolumny roboczej uciekły dwie

kobiety. Domyśliłyśmy się, że następstwa tego nie będą dla nas zbyt przyjemne, ale każda z nas serdecznie, z głębi duszy pragnęła tego, aby ta ucieczka udała się. Z przerażeniem myślałyśmy o tym, jak znęcaliby się nad złapanymi ofiarami. Jedna z tych, które uciekły była Polką, druga — Ukrainką. Natychmiast zarządzono w obozie generalny apel. Był wieczór. Domyślałyśmy się, że postoiśmy pewnie całą noc. Ale tym razem pomyliłyśmy się w swoich przypuszczeniach. Apel rozpoczął się. Kobiety ze wszystkich bloków stały równiutko w rzędach. Na początku szeregów ukazała się oberynka, komendant i adiutant. „Wszechmocna” trójka szła wolno wzdłuż szeregów, rozmawiając o czymś między sobą. Wreszcie komendant ogłosił wszystkim stojącym, że będziemy stały tak długo, dopóki nie znajdą się te dwie, które uciekły. „Pan komendant” jest przekonany, że za godzinę, czy dwie będą z powrotem przyprowadzone do obozu „głupie świnię”, na poszukiwanie których wyruszyły aufzjerki i SS-mani. Gdyby jednak nie udało się im tak szybko schwycić uciekinierek, gdyby to miało trwać nawet kilka dni, to my będziemy tak długo stały, dopóki ich nie złapią. „Pan komendant” musi je przeprowadzić przed naszymi szeregami i pokazać nam, że nie ma najmniejszego sensu nawet myśleć o ucieczce, gdyż potęga i siła władz obozowych jest wielka i nieograniczona, mająca dalekosiężny wzrok i długie ręce, które schwycą i przyprowadzą z powrotem dwie „głupie świnię”. Każda z nas uśmiechała się do własnych myśli. Po dwie „głupie świnię” trzeba było wysłać

dziesięć aufzjerek i SS-manów z psami. Oprócz tego, każde z nich zaopatrzone było w rewolwer. Tak, rzeczywiście siła i potęga władz obozowych jest „wielka i nieograniczona”. Po przejściu wzdłuż całego szeregu i ogłoszeniu kary za ucieczkę tych dwu kobiet, oberynka wezwała do siebie anwajzunga tej kolumny roboczej, z której one uciekły. Rozmawiała z nią chwilę, a raczej wrzeszczała na nią bez przerwy, nie dając jej powiedzieć słowa. Anwajzungiem była Niemka. Stała teraz wyprostowana „na baczność” przed tym bydlęciem i po chwili spróbowała powiedzieć kilka słów. Skutek był taki, że dostała w pysk z jednej i z drugiej strony, zachwiała się na nogach, ale szybko wyprostowała się znowu i wyprężona słuźalczo stała, czekając na dalsze uderzenia. Binz, wyrzuciwszy z siebie pierwszą złość, ochłoneła trochę i uspokoiła się. Skorzystała z tego stojąca przed nią Niemka, gdyż prędko zaczęła mówić coś. Usprawiedliwiała się widocznie i w obawie przed dalszą karą, zrzucała winę na inną. Oberynka słuchała chwilę, a później razem z anwajzungiem zbliżyła się do szeregów, szukając w nich kogoś. Wreszcie anwajzung palcem wskazał jedną z szeregu. Była to Polka. Jak twierdził niemiecki auwajzung, wskazana przez nią Polka musiała być wtajemniczona w plan ucieczki, gdyż podczas pracy cały czas rozmawiała z uciekinierkami i anwajzung zwracał im kilka razy uwagę, żeby przestały gadać i pilniej pracowały. Później zameldowały się obie do ubikacji, z której wróciła ta, która tu stoi. Zapytana o tę drugą, odpowiedziała, że nie wie gdzie ona jest, gdyż w czasie jej załatwiania

się, tamta druga odeszła. Binz słuchała wszystkiego uważnie, wreszcie powiedziała ze złością:

„— Kłamiesz od początku do końca, ty parszywy psie. Mów, gdzie ona uciekła, ty dobrze wiesz.”

„— Nie wiem” — brzmiała krótka odpowiedź.

„— Wiesz — i ja cię nauczę mówić prawdę” — odpowiedziała Binz i ręką złożoną w pięść wymierzyła jej w głowę dwa straszliwe ciosy. Nieszczęśliwa dziewczyna zalała się krwią i upadła na ziemię. Widok, jaki nastąpił później, dziś jeszcze przejmuję mnie grozą. Binz rzuciła się na leżącą dziewczynę i tratowała ją nogami. Deptała jej po głowie, po piersiach, po brzuchu. Kopała ją nawet wówczas jeszcze, kiedy na ziemi leżał już tylko kawał zniekształconego ciała w dużej kałuży krwi. Zabitą zabrano na rewir, aby ją „ratować”. Ale tam już tylko polska lekarka stwierdziła śmierć. Zabita miała zgruchotaną klatkę piersiową, połamane ręce i nogi i zupełnie zniekształconą twarz, oraz pęknięcie czaszki. Była to pierwsza ofiara ucieczki dwu kobiet. Binz, nasyciwszy się swoją zbrodnią, odeszła. Była godzina dwunasta w nocy. Apel trwał bez przerwy. Stałyśmy, prosząc Boga o to, żeby nie złapali tych dwóch, które uciekły. Noc stała nad nami upiorna i groźna. Miałyśmy oczy pełne krwi, która rozlewała się szeroko po całym obozie. Wszędzie widziałyśmy krew. Las stojący cicho i nieruchomo tuż za obozem płonął czerwonym kolorem, szumiał krwią tysięcy pomordowanych w nim kobiet. Było w nim teraz coś niesamowitego. Był groźny i tajemniczy. Zdawało nam się, że w tej nocnej pustce ktoś nagle woła pomocy, że krzyk się wzmacza i rośnie, że jest

już blisko nas. Nie! Tylko głośniej zaszumiały drzewa i może jakaś dusza zamęczonej kobiety zesłała w tę noc na ziemię i błędziła wśród nas jako wieczne przypomnienie niemieckich zbrodni. Dawno już minęła północ, gdy nagle usłyszeliśmy głośne ujadanie psów. Domyśliłyśmy się, że to aufzjerki wracają z „obławy“. Serca w nas zamarły. Czekałyśmy co dalej nastąpi. Każda z nas kurczowo zaciskała dłonie i rozpaczliwie pytała drugą: „Jak myślisz, chyba je nie schwycili“? Ale która z nas mogła to wiedzieć? Było to pytanie naiwne, śmieszne, tak samo, jak odpowiedź, która brzmiała zawsze jednako: „Na pewno nie złapali“. Było to wypowiedziane tak stanowczo i z takim przekonaniem, że nie ulegało kwestii. Inaczej nie mogło być, nie złapano ich i koniec. A jednak, kiedy po godzinie komendant wyszedł z biura i szedł w naszą stronę, serca tłukły nam się w piersiach nieprzytomnie i myślałyśmy przerażone: A może złapali? Czekałyśmy niecierpliwie, co powie nam „pan komendant“. Oznajmił nam krótko, że „dwie uciekinierki nie zostały jeszcze schwyczone, ale jutro je na pewno złapią, a my tymczasem będziemy stały dalej“. Aż korciło coś i język śwędził, żeby powiedzieć komendantowi, że jednak nie jest tak łatwo złapać „dwie głupie świnię“, po które wyruszyła cała wyprawa z psami. Wyglądało to jak polowanie na grubego i dzikiego zwierza. Komendant odszedł, a my stałyśmy dalej. Zimno było nam bardzo. Niewyspane, zmęczone, zziębnięte i głodne. Jak zwykle w takich wypadkach, jedno modliły się, inne opowiadały sobie jakieś dawno oglądane filmy lub przeczytane książki, jeszcze inne

opowiadały sobie wice, żeby tylko oszukać zimno i głód. Żeby zapomnieć, żeby tylko nie myśleć o tym. Niestety. Nie udawało się to na dłuższą metę. Żołądek wciąż przypominał o swoim istnieniu, kurczył się boleśnie, wywołując jakiś zamęt w głowie i mdłości. Chwilami ciemniało w oczach, a ciemność ta była jeszcze bardziej nieprzenikniona jak noc, ale za to mniej groźna i jakaś przyjemniejsza. Tak dobrze było w tych krótkich momentach, kiedy świadomość odchodziła na chwilę. Noc dobiegała końca. I tak zdawało nam się, że minęła ona dziwnie szybko. Od czasu do czasu tylko między różnymi szeregami powstawał jakiś krzyk i zamieszanie. To mdlały kobiety z wycieńczenia i z głodu. Leżały tak zostawione na łaskę losu, bo któż miał je ratować? Biegało się na blok po wodę, nacierało się zemdlonej skronie i to było wszystko. Zemdlona po chwili otwierała oczy, które mówiły, błagały o chleb. Mogła dostać tylko wody. Nie miała więc siły podnieść się. Leżała na zimnej ziemi i patrzyła nieruchomymi oczami w bezlitosne niebo. Ranek. W słońcu, które przywędrowało nad obóz zobaczyłyśmy siebie. Wyglądałyśmy wszystkie okropnie. Szare twarze o zapadniętych policzkach i płonące, rozgorączkowane oczy, beznadziejnie wpatrzone w swój los. Żadna już nie miała ochoty do śmiechu, umilkły opowiadania filmów i książek. Tego dnia nie wyruszyła do pracy żadna kolumna. Cały obóz stał na apelu. Tylko pracujące w kuchni i w kantynie poszły do swoich zajęć. Z naszego bloku wzięto jedną Polkę do biura politycznego. Potrzebna im była tłumaczka na pół dnia

Poszła więc Wanda Radwańska. W godzinę czasu po jej odejściu, zrobiło się nagle jakieś poruszenie. W pierwszych szeregach, stojących bliżej biura, zakotłowało się. Kobiety głośno rozmawiały o czymś, wskazując rękami w stronę bramy obozu. Spojrzałyśmy w tamtym kierunku i zmartwiałyśmy. SS-mani prowadzili jedną z uciekinierek. Była to Ukrainka. Szła ze spuszczoną głową, z trudem wlokąc okrwawione nogi, na których zwisały strzępy poszarpanego przez psy ciała. Twarz miała tak zbitą, że nie można było odszukać w niej oczu. Ubranie było całe w strzępach. Prowadzono ją do biura komendanta. Opowiadała nam później Wanda Radwańska, jak wyglądało „przesłuchanie” Ukrainki, której nie udało się uciec. W. Radwańska musiała być obecna przy tym „przesłuchaniu”, gdyż w tym czasie była w biurze jako tłumaczka. Mówiła, że czegoś podobnego nie widziała nigdy. Zapytana Ukrainka o to, dokąd chciała iść, odpowiedziała: „Do domu, do matki, tu źle”. W odpowiedzi na to komendant chwycił z biurka przycisk do papierów i uderzył ją w głowę. Krew buchnęła ustami, nosem, uszami i dziewczyna zwała się na ziemię. Nie jęczała nawet, ani nie płakała. Później zabrano ją do rewiru, gdzie dr Rosenthal dokonywał na niej jakichś dziwnych zabiegów. Nie wiadomo, czy była to znowu jakaś operacja doświadczalna, fakt, że dziewczyna była pokrojona na kawałki, które zostały spalone.

Upłynęło znowu pół dnia. Stałyśmy bez przerwy na apelu. Miałymy już za sobą noc i pół dnia. Obóz wyglądał jak pobojuwisko gęsto usiane tru-

pami. Pod blokami leżało mnóstwo kobiet. Jedne zemdlone, inne nie mające siły podnieść się i stać, jeszcze inne — nieżywe. Umarły nagle i cicho leżały z otwartymi ustami, jakby je śmierć zaskoczyła i napadła, zanim zdążyły krzyknąć. Otwarte oczy obojętnie już teraz patrzyły w niebo. Była jakaś przeraźliwa beznamietność w tych twarzach, na których śmierć zostawiła piętno pogardliwego spokoju.

Stałam obok Haliny Raczyńskiej, z którą rozmawiałam cicho. Zastanawialiśmy się nad tym, ile czasu jeszcze każą nam stać ci bandyci. Doszliśmy do wniosku, że jeśli postoiemy jeszcze jedną noc, to już chyba wszystkie będziemy leżały pod blokami i czekały śmierci. Powiedziałam w pewnym momencie do niej:

„— Wiesz, Halina, tak mi się strasznie chce jeść, tak mi jest niedobrze“.

„— Komu dzisiaj dobrze“ — zażartowała Halina, biorąc mnie pod rękę. Nie myśl o głodzie Michalina. Jeszcze będzie dobrze, zobaczysz. Najemy się kiedyś i my do syta. Pomówmy o czym innym, żeby odwrócić uwagę od jedzenia. Ty lubisz teatr, pomówmy o teatrze. Opowiedz mi coś ciekawego.“

Mówiła to wszystko ze śmiechem, chcąc żartami pokryć smutek swoich oczu. Tak. Halina Raczyńska była smutną nie dlatego, że sama była głodna, tylko dlatego, że musiała patrzeć na te rzesze padających z głodu i nic nie mogła im pomóc. Był to nieliczny i wyjątkowy okaz człowieka, który nigdy nie chce nic dla siebie. Było to cudowne zjawisko człowieka na tle tego okropnego koszmaru

życia obozowego, gdzie często pragnienie zaspokojenia głodu przesłaniało wszystkie inne wartości ludzkie, upodabniając ich do zwierząt, dla których dewizą było: jeść. Halina zawsze umiała podzielić swoją skromną kromkę chleba na pół, żeby jedną część oddać głodniejszej od siebie. Umiała też przekonać którąś z towarzyszek niedoli, że ona wcale nie lubi margaryny, po której jest jej niedobrze, więc prosi ją, żeby za nią zjadła margarynę. I tak wyzbywała się częściowo swoich skromnych przydziałów obozowych, zjadając resztki. Rzeczywiście, nie jest sztuką dawać, kiedy się ma za dużo, ale dawać z tego, kiedy się ma mniej niż mało — to było wielką sztuką. Na to trzeba było być Haliną Raczyńską, która oprócz chleba i margaryny, wносиła wszędzie humor, uśmiech i cudowną, jasną pogodę. Dla każdego miała dobre słowo i życzliwość, serdeczną pociechę. Zaczęłyśmy mówić o teatrze, o widzianych ostatnio, a przecież tak dawno, sztukach. Pograżałyśmy się w tę atmosferę, gdzie nie ma nienawiści, psów, Niemców, morderstw, jest tylko piękno najwyższe, nieskończone, prawdziwe. Na tej rozmowie zeszło nam resztę dnia i wieczorem, o godzinie 9-tej syrena oznajmiła nam koniec apelu. Szłyśmy do bloku, zabierając po drodze te wszystkie, które nie mogły iść o własnych siłach. W kilka minut po naszym odejściu, dwie Niemki zbierały trupy z ulicy obozowej, ładowały je na mały wózek i wiozły do kostnicy. Tam wzywane były wszystkie blokowe, które musiały rozpoznawać, który trup jest z jej bloku. Następnie musiała na piersiach zmarłej wypisać kopiaowym ołówkiem: numer więźnia, imię,

nazwisko, wiek i numer bloku, na którym mieszkała zmarła. To wędrowało do archiwum biura, gdzie wykreślano je z kartoteki żyjących, a następnie zmarłe wywozili do krematorium.

Mijały dni jednakowo-ciężkie, jednakowo krwawe. Śmierć uwijała się po obozie, zbierając obfite żniwo. Pewnego dnia dowiedziałyśmy się, że na naszym bloku ma być zmieniona blokowa. Od razu ustosunkowałyśmy się do tej sprawy wrogo i niechętnie. Do tej blokowej przyzwyczaiłyśmy się już, wiedziałyśmy, że nie jest zła, że nikogo nie krzywdzi itd. Jaka będzie nowa — nie wiedziałyśmy. Rzeczywiście, jeszcze tego samego dnia, wieczorem przyszła na nasz blok Wanda Urbańska na stanowisko blokowej. Poprzednia blokowa została przerzucona na inny blok. W bloku naszym zawrzało jak w ulu. Właściwie bliżej nie znałyśmy jej. Wiedziałyśmy, że kiedyś pracowała w biurze politycznym. Była tylko nieliczna grupa kobiet na bloku, które znały ją lepiej i bliżej. Toteż ta nieliczna grupa została otoczona przez nas i wypytywana gorączkowo o to, kim jest Wanda Urbańska, czy jest odważna, czy to nie jaki volksdeutsch, czy jest dobrą Polką? Chciałyśmy wiedzieć wszystko naraz. Dziewczęta śmiały się i odpowiadały nam cierpliwie, uspakaając nas słowami: „Nie bójcie się, Wanda Urbańska jest dobrym i porządnym człowiekiem. Będziemy miały blokową, jakiej nie ma żaden blok. Jest dobrą Polką, jest niesłychanie odważna i jeśli chodzi o załatwienie jakiegokolwiek sprawy z władzami obozu na rzecz Polek, to jest bezczelna”. To nas trochę uspokoiło, chociaż myślałyśmy, że w tym, co one

mówią jest trochę przesady. Ale przyszłość miała pokazać coś innego. W naszych najśmielszych marzeniach nie myślałyśmy nawet, że możemy mieć taką wspaniałą blokową. Mądrą, dobrą, odważną, nie znającą chwili spoczynku, bez wytchnienia pracującą dla Polek i dla dobrej sprawy. Nie było rzeczy, której nie chciałaby załatwić Wanda Urbańska. Mogła czy nie mogła, szła i próbowała zawsze z dobrym wynikiem. Trzeba było kogoś ratować z meldunku, za który groziło pięćdziesiąt batów i blok karny, Wanda Urbańska biegła po całym obozie, szukając głównej policjantki, Niemki, od której można było jeszcze meldunek wycofać, zanim został oddany oberynce. Trzeba było komuś zrobić „bet-kartę” na „lewo”, aby go uchronić od czekającej go kary lub od ciężkiej pracy, Wanda Urbańska biegła do rewiru i tam od znajomych lekarzek polskich lub czeskich otrzymywała „bet-karty” z wypisaną ciężką chorobą i dawała je potrzebującym. Blok 16-ty (dawniejszy 22-gi, przemalowany później na 16-ty) wkrótce zasłynął na całym obozie jako jedyny blok najlepszy, gdzie jest wspaniała blokowa, pozwalająca Polkom na wszystko. Władze obozu też były zadowolone, gdyż ile razy była kontrola bloku, wszystko było w idealnym porządku, blok był czysty, zawsze sprzątnięty itd. Tylko, że te „władze obozu” nie domyślały się nawet, że zwykle przed taką kontrolą, przychodziła jedna Niemka, pracująca w biurze i ostrzegała blokową, że tego dnia będzie kontrola. Oczywiście dostawała za to coś z żarcia, ale to się opłacało, gdyż blok był w porządku, wszystkie „kompromitujące”

rzeczy były tymczasowo wyniesione na inny blok. Tylko na czas kontroli. Później wszystko wracało do normalnego stanu. O, Wanda Urbańska była sprytna i przebiegła. Niemcy nie mogli wymyśleć nic lepszego, dając Wandę Urbańską na stanowisko blokowej. Dni na bloku potoczyły się teraz pogodniej i przyjemniej. Większość kobiet nie chodziła teraz do pracy, tylko „dekowała” się na bloku. Blokowa wszystko ukrywała. Zaczął się istny szturm do naszego bloku. Kobiety stare, chore i młode zdrowe z innych bloków przychodziły do naszej blokowej i błagały ją o przyjęcie na swój blok. Wanda Urbańska nie dawała się nigdy długo prosić. Biegła prędko do biura i tam mówiła do znajomej Niemki: „Słuchaj, przełóż te numery i nazwiska na mój blok. Widzisz, one tu mają rodzinę, ta ma matkę, ta druga ma ciotkę, a one są na innym bloku. Niech będą razem. Zrób to dla mnie. Już ja ci się odwdzięczę”. Zdaje się, że najbardziej trafiały do przekonania Niemki ostatnie słowa blokowej. Niemka prędko obiecywała to załatwić i rzeczywiście, jeszcze tego samego dnia przychodziło oficjalne zarządzenie z biura, że blokowa ma przyjąć wymienione na kartce numery i nazwiska, na swój blok. Niemka, która przychodziła wieczorem do pokoju służbowego blokowej niby po to, żeby dowiedzieć się czy wszystko w porządku załatwione, wychodziła obdarowana i zadowolona, a blokowa była pewna, że jeśli zajdzie potrzeba załatwienia czegoś znowu, Niemka nie będzie mogła jej odmówić. Było to w tym czasie, kiedy do obozu można było otrzymywać paczki. Polki dostawały ładne

paczki i często. Niemki nie dostawały paczek prawie wcale. Dlatego można było każdą Niemkę łatwo przekupić jedzeniem, na które one patrzyły wiecznie głodnymi oczami.

Na bloku naszym zaczęły się teraz różne zebrania. Kobiety zbierały się na „trzeciaku” (były to łóżka na trzecim piętrze) i tam skulone, cichutko rozmawiały na tematy polityczne, społeczne, naukowe. W zebraniach chętnie brała udział blokowa, która stawiała zawsze jedną przed blokiem na straży. Musiała ona dobrze uważać i dać znać, w razie zbliżającego się „niebezpieczeństwa”. Ilość kobiet na naszym bloku dochodziła już do ośmiuset. Można sobie wyobrazić, jaki był straszny tłok, skoro blok był obliczony na pomieszczenie 270 kobiet. Mimo to, blokowa biegła między tą ściśniętą gromadą zawsze pogodna, uśmiechnięta, pełna dobrego humoru i dobrych słów. Cieszyła się, że gromada jej powiększa się, że kobiety tak do niej lgną i że ona może im choć trochę ułatwić życie obozowe. Bo chociaż Binz szalała podczas apeli, chociaż apele trwały zawsze i niezmiennie po kilka godzin, to jednak znosiłyśmy to wszystko o wiele lepiej, wiedząc, że po tym wrócimy na blok, gdzie jest cicho i przyjemnie, gdzie jest atmosfera umiarkowanego chociażby spokoju.

Przez pewien czas nie wydarzyło się w obozie nic szczególnego poza tym, że znowu Binz kogoś zatłukła na śmierć, że w „betribach” aufzjerki szalały, biły i kopały, znęcały się w sposób nieludzki nad pracującymi kobietami. Ale to było już dla nas chlebem powszednim, a nawet czymś więcej, gdyż tego chleba często brakło, a bicia było zawsze aż

za dużo. Dlatego bicie nie robiło na nas żadnego wrażenia. „Znowu którąś zabiła?” — pytałyśmy obojętnie — i tylko każda z nas czuła, jak gdzieś spod serca wypelza przyczajona, straszliwa nienawiść, która dusi w gardle i krwią oczy zalewa. Ale żalu nad zabita nie było. Bo i czegoż miałyśmy jej żałować? Tego spokoju, który odnalazła w smutnej, obozowej śmierci? Ech, co tam. Dziś ona, jutro ja — myślała każda z nas.

Nagle, władze obozu zażądały nowych ofiar na „króliki”. Wszystkie Polki z całego obozu, wraz z tymi, które były już operowane, przeciwstawiły się temu. Oznajmiły one komendantowi i oberynce, że mogą je zabić, ale operować się nie pozwolą. „Pan komendant” postanowił je zmusić do tego. Na blok piętnasty, na którym były zebrane wszystkie „króliki”, wpadło kilkanaście aufzjerek, które dokonały szczegółowej rewizji, zabierając im wszystką żywność. Następnie blok został szczelnie zamknięty i pozabijano okiennice. Kobiety zamknięte w bloku przez 4 dni nie dostały żadnego jedzenia ani wody. Z wycieńczenia i z braku powietrza mdlały. Mimo to, nie ustępowały. Zbrodniarze niemieccy wiedząc, że Polki wolą umrzeć, niż poddawać się tym okropnym operacjom, poradzili sobie w inny sposób. Otworzyli blok i kazali wszystkim kobietom wyjść. Do ustawionych kobiet miała przemowę Binz, w której zaręczała im, że operowane nie będą, że w ogóle więcej operacyj w obozie nie będzie. Ale te pięć, przeznaczonych na operację, za opór i przeciwstawienie się zarządzeniom obozu, pojedą na transport do fabryki. Jest to kara, której muszą się podpo-

rządkować. Adiutant komendanta obozu, Browning, dał nawet „słowo honoru“, że nic więcej im nie grozi. Dziewczęta zgodziły się, licząc na to, że z fabryki może łatwiej im będzie „zwiąć“. Cóż czekało je w obozie? kalectwo, albo śmierć. Dziewczęta wystąpiły z szeregów i poszły z oberynką, która zaprowadziła je do bunkra. Po chwili, do maleńkiej celi, gdzie było zamkniętych pięć kobiet, wszedł dr Gebhardt i dr Fischer w otoczeniu kilku SS-manów. Kobiety zorientowały się, że zostały złapane w pułapkę. Scena operacji w bunkrze była straszna. Pięć młodych kobiet walczących z kilkoma oprawcami niemieckimi o swoje zdrowie. Wolały śmierć, niż operacje. Niestety — walka była nierówna, dlatego musiały ulec przemocy. Dostały zastrzyki, po których nie miały już siły walczyć. Leżały bezradne i bezbronne. W strasznych warunkach, bez kąpieli, natychmiast je operowano. Po operacji, przeniesiono je do rewiru, skąd po kilkutygodniowym pobycie, przywieziono na blok piętnasty nowych pięć kobiet kalek.

W obozie było już tak straszne przepełnienie, że bloki nie mogły pomieścić wszystkich kobiet. Zwiezione kobiety wszystkich narodowości gnieździły się na blokach w okropnych warunkach. Blok nie podobny był już teraz zupełnie do budynku mieszkalnego. Może zewnątrz, ale wewnątrz robił wrażenie jakiejś wielkiej ohydnej nory, gdzie ustawiane są trzypiętrowe barłogi cuchnące i zawzione. Na jednym takim barłogu, który niczym już nie przypominał łóżka, musiało się teraz pomieścić cztery i pięć kobiet. A przecież to jeszcze

nie było wszystko. Każdego dnia do obozu przejeżdżał nowy transport. Wprawdzie Niemcy wysłali z naszego obozu olbrzymie transporty do fabryk, ale to wszystko było niczym w porównaniu do tej ilości, jaką przywozili do obozu.

Wreszcie postanowili w inny sposób zmniejszyć ilość kobiet w obozie.

Tuż za naszym obozem był duży wolny plac, na którym postawili kilka baraków i ogrodzili niewysokim murem i drutem kolczastym. Ten nowy obóz nazywał się „Uckermarck”. Następnie każda blokowa dostała rozkaz zrobienia listy ze swego bloku wszystkich kobiet powyżej lat czterdziestu, chorych i niezdolnych do ciężkiej pracy. Kobiety te miały być przeniesione do obozu na „Uckermarcku”, gdzie miało być dla nich zdrowiej i wygodniej. Tam miały siedzieć na blokach i robić na drutach pończochy dla obozu. Niemcy mówili o Uckermarcku, jak o czymś w rodzaju „sanatorium”. Wiele spośród kobiet uwierzyło w to, że Niemcy rzeczywiście chcą złagodzić pobyt w obozie starym i chorym kobietom. My domyślałyśmy się od razu podstępu. Dlatego nasza blokowa nie zachęcała żadnej do pójścia na Uckermarck. Przeciwnie, mówiła o tym w sposób dający do myślenia, że nie należy tak bezkrytycznie wierzyć w to, co mówią o Uckermarcku. To też z naszego bloku nie było wiele chętnych do pójścia na inny obóz. Wprawdzie blokowa dostała rozkaz spisania wszystkich kobiet powyżej lat 40-tu, niezależnie od tego, czy one chcą, czy nie, ale przecież ich zarządzenia były po to, żeby je umiejętnie omijać i robić według własnego uznania. Zwłaszcza, że

wobec przerażającej ilości kobiet i panującego już wówczas bałaganu, Niemcy nie byli w stanie sprawdzić, ile kobiet na każdym bloku jest rzeczywiście chorych, starych i niezdolnych do pracy. Dlatego też blokowa nasza nie wiele robiła sobie z ich rozkazu. Kazała tylko poodbijać w suficie deski tak, żeby je zawsze można było z powrotem zamknąć. Były to otwory porobione specjalnie w tym celu, żeby można było tam pochować kobiety, znajdujące się na bloku w razie kontroli.

Przyszeli ów pamiętny dzień, w którym po raz pierwszy przetransportowano kobiety z naszego obozu na Uckermark. Rano po apelie liczebnym, każda blokowa, według sporządzonego przez siebie spisu, wywoływała kobiety przeznaczone do pójścia na Uckermark. Później zebraną gromadkę prowadziła przed „kąpielowy”, gdzie miały być wykąpane i przebrane. Przed „kąpielowym” ustawiała blokowa swoją gromadę kolejno, według numeracji bloku. Zebrane były już wszystkie bloki. Przed szeregami kobiet przeszła oberynka w towarzystwie komendanta. Dochodziła ona kolejno do każdej blokowej i pytała o numer bloku i ilość kobiet odsyłanych na Uckermark. Ze wszystkich bloków padały zawrotne cyfry, wywołujące uśmiech zadowolenia na twarzy Binz. 280 — blok 17-ty 320 — blok 18-ty. 219 — blok 19-ty itd. Rekord pobił blok 21, który wystawił 459 kobiet. Blokową była tam jakaś panna Rozmiariek, o której jeszcze słów kilka napiszę. Kiedy Binz doszła do naszego bloku, zatrzymała się przez chwilę i patrzyła zdziwiona. Wanda Urbańska meldowała: „Blok 16, ilość kobiet

na Uckermarck — 38". Binz spytała krótko: „Czy pani nie pomyliła się"? „Nie, pani oberynko" — odpowiedziała blokowa. „Urbański — to niemożliwe, pani blok jest jednym z najliczniej zamieszkałych bloków" — powiedziała znowu oberynka.

— Tak, ale wszystkie pracują — powiedziała blokowa.

Binz popatrzała jeszcze niedowierzająco i odeszła wolno. Blokowa, domyślając się, że może być kontrola na bloku, posłała mnie z ostrzeżeniem, aby wszystkie kobiety powchodziły na strych i tam siedziały cicho i spokojnie.

W kąpielowym tymczasem kąpano i przebierano wszystkie kobiety przeznaczone na Uckermarck. Przed wieczorem odprowadzono je do nowego obozu gdzie podobno miały mieć lepiej. Już po kilku dniach dotarły do nas wiadomości o tym „sanatorium". Mogłyśmy wiedzieć dokładnie co się tam dzieje, gdyż między Uckermarckiem a naszym obozem był stały kontakt. Uckermarck nie miał własnej kuchni, ani kamery odzieżowej, ani rewiru. Wszystko otrzymywał z naszego obozu. Jeśli trzeba było zanieść bieliznę czy ubranie na Uckermarck, dużo było ochotniczek spośród nas. Każda chciała zobaczyć to „sanatorium", które okazało się miejscem największych zbrodni niemieckich. Zaraz od pierwszego dnia, kobiety na Uckermarcku dostały mniejsze porcje chleba. Była to mała kromka, ważąca 14 dkg. Gorącą kawę dostawały raz na 4-5 dni i po pół litra wstrętnej, cuchnącej zupy dziennie. To było wszystko. Poza tym, apele trwały z reguły po 6 godzin dziennie. Zorientowałyśmy się, że

Uckermarck został urządzony specjalnie w tym celu, aby przyspieszyć proces wymordowania kobiet. Podczas każdego apelu chodziło kilka aufzjerek dokoła stojących kobiet. Uważały one pilnie, czy która z nich nie opiera się o drugą, nie mogąc już stać o własnych siłach, czy która nie upadnie itd. Każdego dnia żniwo było obfite. Po każdym takim apelu było kilkanaście trupów i kilkadziesiąt kobiet leżących na ziemi, kobiet, które wprawdzie jeszcze żyły, ale nie mogły już o własnych siłach wstać ani chodzić. Trupy zabierano od razu do krematorium, a kobiety żywe jeszcze, pakowano do specjalnie w tym celu przygotowanego bloku, który nazywał się „blokiem śmierci”. Zresztą cały Uckermarck nosił nazwę „obozu śmierci”. Kobietom zebranych na „bloku śmierci” zabierano zaraz koce, pończochy i drewniaki i nie dawano im już zupełnie jedzenia. Blok zamykano, gdyż na apel nie musiały już wychodzić. Tam przeżywały straszliwą tragedię swoich ostatnich dni i godzin. Wiedziały, że śmierć stoi przyczajona cicho za drzwiami bloku i czeka. Czekają na jedną z tych upiornych, nieruchomych nocy, w którą dysonansem wpadnie zgrzyt kół ciężarowego samochodu. Samochód zatrzyma się przed blokiem śmierci, którego drzwi zostaną otwarte. Samochód ciężarowy przyjeżdżał na Uckermarck co trzecią lub czwartą noc. SS-mani otwierali blok śmierci i przerażone, na pół obłąkane kobiety wrzucali na samochód. Wieźli je zaraz do komory gazowej. Był to niewielki pokój, w którym zamykano kobiety przeznaczone na śmierć, i puszczano gaz. Pokój przeznaczony do „gazowania” był bardzo

nieszczęlny i kobiety przeważnie były zamroczone, a nie uśmiercone. Nikt jednak nie zastanawiał się nad tym, ani nie sprawdzał tego. Z komory gazowej wieziono do krematorium kobiety na pół żywe, niezupełnie zatrute. Sceny, jakie odbywały się na Uckermarcku, są nie do opisania. Niemki, jak hieny, żerując między tymi pół trupami kobiet, rzucały się na ostatni kawałek chleba, okradając nieszczęśliwe kobiety nawet z tego ostatniego, śmiesznego jedzenia. Szybko Uckermarck pokazał swoje prawdziwe oblicze, stając się groźbą i postrachem dla starszych, chorych i niezdolnych do ciężkiej pracy kobiet. W naszym obozie powstała okropna panika. Kobiety uciekały z rewiru, chociaż były jeszcze niezupełnie zdrowe. Chciały jak najszybciej znaleźć się na bloku zdrowych. Przed nimi więcej, niż przed wszystkimi innymi, stała groźba Uckermarcku. Te, które miały siwe włosy, przemalowywały je na czarne, zdobytą gdzieś pomadką do butów. Były tylko zmienić swój wygląd na trochę chociaż młodszą. Malowały sobie również policzki na czerwono bibułą lub burakami, żeby zmienić blady, chorobliwy kolor skóry. Co kilka dni odbywał się przegląd kobiet w naszym obozie. Czy kobiet niepracujących i starszych nie ukrywa się w blokach dzięki pomocy blokowych. Nie wiedzieli tylko, gdzie je mają szukać, żeby wyłapać wszystkie. W przeciągu miesiąca wywieźli z Uckermarcku do komory gazowej cztery tysiące kobiet.

Do obozu napływały teraz olbrzymie transporty kobiet różnych narodowości: Polki, Francuzki, Belgijki, Holenderki, Norweżki, Jugosłowianki, Czeszki,

Węgierki i Żydówki. Kolejny numer więźniarki przekraczał już liczbę 80 tysięcy. Oczywiście, że suma znajdujących się w obozie kobiet była o wiele mniejsza, gdyż w międzyczasie zdążyli mnóstwo kobiet wytruć gazem, część kobiet czekała śmierci na Uckermarku i olbrzymia ilość kobiet została wywieziona do różnych fabryk amunicji. Mimo to było nas wówczas w obozie około 40 tysięcy. Można więc wyobrazić sobie, jaki był rozgardiasz, bałagan i tłok w obozie, który w najlepszym razie miał pomieścić 8 tysięcy i to już wtedy było dość ciasno. A transporty napływały każdego dnia bez przerwy. Z tego, co działo się wówczas w obozie, widać było, że władze obozu potraciły głowy. Nie umieli poradzić sobie z ilością kobiet, która wciąż wzrastała. Obóz nasz stał się obozem przejściowym. Transporty, które przechodziły teraz, brane były do kąpielowego, gdzie rabowano im wszystko, obiecując im wszystko zwrócić przy wyjściu z obozu. Rozbierano wszystkie do naga i dawano im najgorsze, podarte łachy. Bizuteria, futra, palta, ubrania, buty, bielizna — wszystko to wędrowało do magazynów niemieckich na „depozyt”. Po zrabowaniu wszystkiego, biuro pracowało gorączkowo nad spisywaniem nazwisk i numerów, a później następowała selekcja. A więc: starsze, słabe, chore i młode, tylko źle wyglądające, szczupłe i blade — z miejsca odsyłano na Uckermark. One nie wiedziały jeszcze wówczas, że to jest obóz śmierci. Sądziły, że są zatrzymane w obozie tak, jak wiele innych, aby tu pracować. Inne — zdrowe, czekały dnia, w którym podstawią wagony, aby je wywieźć dalej, do innego

obozu, lub do fabryki. Czasami czekały dwa, trzy dni, a czasami tydzień lub dwa. Trzeba było więc gdzieś je pomieścić na ten okres czekania. Niemcy postawili w tym celu tzw. „Zelt”. Był to olbrzymi namiot, postawiony na końcu obozu między dwoma mieszkalnymi blokami. Na wbitych w ziemię słupach rozciągnięto płótno brezentowe i nic więcej. Żadnych łóżek, stołków — nic. Na brudnej, zimnej ziemi siedziały skulone, trzęsące się z zimna kobiety, przytulając się jedna do drugiej, aby w ten sposób rozgrzać trochę zziębnięte ciało. Kiedy z kuchni przynosili kotły z gorącą kawą lub zupą, wtedy wszystkie kobiety razem rzucały się jak dzikie zwierzątka. Każda chciała być pierwsza. Kilka tysięcy kobiet rzucało się na kotły i na siebie nawzajem, biły się i przewracały, deptały po sobie. Rezultat najczęściej był taki, że kotły z gorącą zupą lub kawą zostały przewrócone i zawartość wylana na ziemię. Zelt nie miał też ubikacji. Kobiety wychodziły i załatwiały swoje fizjologiczne potrzeby tuż pod samym Zeltem, tak, że wkrótce dojście do namiotu było prawie niemożliwe. Tak było dotąd, dopóki w namiocie było półtora tysiąca lub dwa tysiące kobiet. Ale kiedy liczba ich zaczęła sięgać trzech i czterech tysięcy, w Zelcie było już tak ciasno, że nie było można nawet o tym marzyć, aby która z nich mogła wyjść z Zeltu. Jeśli by wyszła, to nie miała już miejsca, na które mogła by wrócić. Zwłaszcza w nocy. Toteż zaczęło się załatwianie naturalnych potrzeb w Zelcie, na miejscu, w którym potrzebująca stała lub siedziała. Z braku odżywiania i prawdopodobnie z zimna, przyplątała się

okropna, epidemicznie panująca w obozie choroba, tzw. „durchfall”. Była to jakaś straszliwa biegunka, która opanowała prawie cały Zelt. Nie do pomyslenia więc było, aby którakolwiek chora na biegunkę zdążyła precyzyjnie się przez ten tłum kobiet, żeby wyjść celem załatwienia się. Nim zdążyła zrobić jeden krok, po nogach już płynęła okropnie cuchnąca ciecz. Chora jęczała tylko cicho i nie próbowała już wychodzić. Inne, nie oburzały się na to ani nie protestowały, gdyż wiedziały, że za chwilę z nimi będzie to samo. Odwracały tylko ze wstrętem głowy, zasłaniały ręką nosy i w bezradnym milczeniu wsłuchiwały się w cichy jęk chorej. Wody nie było także, aby jedna, druga i tysięczna, obrudzona kałem, mogła obmyć się. W takich warunkach, nie myjąc się i nie rozbierając całymi dniami i tygodniami, gniły na zimnej, mokrej, okropnie brudnej ziemi. W bardzo krótkim czasie, do całej nędzy Zeltu, przybyła jeszcze jedna — wszy. Wszy były tak straszne i tak olbrzymie, że nigdy nie mogła bym w to uwierzyć, gdybym tego nie widziała na własne oczy. Każdego dnia teraz wynoszono z namiotu kilkadziesiąt trupów. Tyfus i biegunka szalały. Mimo to, miejsca w Zelcie nie przybywało, ani warunki nie poprawiały się. Miejsce zmarłych zapełniano zaraz trzykrotnie większą liczbą kobiet, nie mających dotychczas miejsca. Transporty odchodziły bardzo nieregularnie, często brakło wagonów, lub strzaskane były tory kolejowe. Bardzo często też wysłane transporty wracały z powrotem, gdyż w innym obozie lub fabryce, do której transport został wysłany, brakło miejsca.

Jeśli chodzi o teren Zeltu, muszę tu nadmienić działalność Hanki Zaturskiej, jako blokowej w Zelcie i Wandy Szwajkowskiej, jako sztabowej. Praca obu tych kobiet była niestrudzona, zasługująca na najwyższe uznanie, zwłaszcza, że poszły one pracować w Zelcie na ochotnika, podczas, gdy inne uciekały od Zeltu i bały się tego jak zarazy. Hanka Zatorska i Wanda Szwajkowska weszły między tysiące żywych trupów kobiet i niosły pomoc pełną poświęcenia. Wiadrami niosły wodę do Zeltu. Wkrótce też przed namiotem stały wiadra, służące jako „ubikacja”. Zarządziły tak, że bardziej chore i częściej potrzebujące wychodzić znalazły miejsce dla siebie bliżej drzwi Zeltu, aby w razie potrzeby prędko zdążyły wyjść. Następnie, godzinami biegały po różnych blokach w obozie, aby wyprosić od kogoś jakiś stary swetr, sukienkę, czy majtki. Jeśli „zbiórka” udała się, wracały obciążone do namiotu i tam obdarowywały kolejno najbardziej potrzebujące. Cóż, kiedy tymi potrzebującymi były prawie wszystkie, a było ich w Zelcie kilka tysięcy. A więc na drugi i trzeci dzień zaczynały to samo. Jedna miała znajomą w kamerze odzieżowej, dzięki której także można było coś otrzymać, inna miała znajomości na „bogatym” bloku kuchennym — i znowu zaczynała się „kwesta” na straszliwą nędzę Zeltu. Tak było każdego dnia. Hanka Zatorska i Wanda Szwajkowska nigdy nie miały czasu dla siebie, nigdy chwili spoczynku. Wiecznie zabiegane, jak nie po jedzenie, to po ubranie, to znowu po wodę, lub z ciężko chorymi do rewiru, aż wreszcie kończył się długi, mozolny dzień. Mam wrażenie,

że każda z nich, kładąc się spać wieczorem, miała po swej pracy takie poczucie, jakie mogą mieć nieliczni ludzie (niestety!): poczucie dobrze spełnionego obowiązku.

Straszne warunki higieniczne, w jakich obecnie znalazł się obóz, głód, bicie i inne wymyślne tortury, powodowały to, że nerwy wielu kobiet nie wytrzymały wszystkiego. Częste były więc wypadki, że jedna i druga chwyciła drut o wysokim napięciu i w ten sposób kończyła swój nędzny, nad siły ciężki żywot. Jeszcze częściej zaczęły zdarzać się wypadki choroby umysłowej. Nie było dnia, w którym nie przyprowadzono by do rewiru prawie z każdego bloku jednej, lub kilku, które zwariowały. Wstrząsające to były sceny, kiedy trzeba było patrzeć na nieszczęśliwe umysłowo chore, z których Niemcy robili dla siebie zabawne widowisko. Np. młoda, dziewiętnastoletnia Ukrainka, która wciąż szła do bramy obozu i prosiła, aby ją puścić do domu, gdyż „u mamy jest dobrze, a tu źle i głodno“. Płakała przy tym bez przerwy, a odepchnięta pięścią od bramy, siadała na ziemi i skulona jak dzikie zwierzątko, wyła cichutko jak mały, zbity piesek. Ze zmęczonych, niebieskich oczu, w których pomieszał się świat i rozum, leciały bez przerwy łzy wielkie i smutne. Przyprowadzona przez swoją blokową do rewiru, prosiła tak samo lekarza: „Panoczku, puśćcie do mamy“. Lekarz wyprowadzał ją przed blok rewirowy i kazał jej iść. Ukrainka znowu szła do bramy, skąd odpychali ją strażnicy niemieccy, bijąc ją przy tym i rzucając sobie z rąk do rąk, jak piłkę.

Patrzył na to „pan doktor” i cała halastra zbirów niemieckich, których zebrała się wkrótce cała gromada dokoła nieszczęśliwej. Po nasyceniu się taką zabawą, chorą zabierano z powrotem na rewir. Wszystkie wariatki odsyłano na blok 10-ty. Tam zamykano je w łazience i zostawiano samym sobie. Blokową na tym bloku była jakaś ohydna zezwierzęcona Niemka, która przyprowadzane na swój blok umyślowo chore rozbierała do koszuli, zabierała z nóg buty i prowadziła je do łazienki. Tam zamykała je na klucz i chore miały teraz czekać dwa, trzy, lub cztery dni, aż liczba ich powiększy się (co dzień przyprowadzano nowe ofiary), wówczas którejś nocy przyjedzie samochód ciężarowy, aby je zabrać do komory gazowej. Po kilkanaście chorych nie opłacało się przysyłać samochodu. Musiały więc czekać. Przez te wszystkie dni czekania nie dostawały już jeść. Niemcy uważali, że szkoda jeszcze jednej kromki chleba. Wypisany im już jest wyrok śmierci, więc po co dla takich marnować jedzenie? Wariatki zostawione same w pokoju kąpielowym, rzucały się na siebie, bijąc się, drapiąc i gryząc. Krzyk, jaki towarzyszył tym scenom, był tak straszny zwłaszcza w nocy, że chwilami zdawało nam się, że za moment my wszystkie powariujemy, a może już jesteśmy pozbawione rozumu i tylko zdaje nam się, że gdzieś zmącił ciszę głębokiej nocy jakiś rozpaczliwy krzyk. Każda z nas chowała głowę pod koc, żeby w ten sposób zagłuszyć, żeby nie słyszeć tego wycia. Ale na próżno. Krzyk na moment przycichał, a później wybuchał ze zdwojoną siłą. Mieszały się prośby z przekleństwami, ciche łkanie

ze strasznym, obłąkanym śmiechem, to znowu któraś opętana manią religijną, powtarzała bez przerwy: „Boże miłosierny, zmiłuj się nad nami, Boże miłosierny, zmiłuj się nad nami”. I tak godzinę, dwie, trzy. Mieszały się te krzyki razem i leciały w górę, odbijając się o wszystkie bloki głośnym, przerażającym echem. Aż pewnej nocy pokój kąpielowy opustoszał. Wprawdzie nie na długo. Już następnego dnia zapełniał się znowu aż do takiej nocy, w którą chore miały odbywać swoją ostatnią drogę.

Na bloku 16-tym były dwie umysłowo chore. Wanda Urbańska nie chciała oddać ich do rewiru, gdzie los ich był przesądzony. Trzymała je więc na bloku. Jedna była młoda dziewczyna, trochę pomyłona, ale zupełnie nieszkodliwa. Niezdolna tylko do żadnej pracy. Jeśli ktoś próbował z nią czasem rozmawiać, odpowiadała bez żadnego związku i sensu. Ot, taki niedorozwinięty „półgłówek”. Zdawała sobie jednak sprawę z grożącego jej niebezpieczeństwa i okropnie bała się śmierci. Dlatego też chodziła za blokową jak cień i dopytywała się wciąż: „Pani blokowa, czy nie da mnie pani zabrać do rewiru?” Blokowa uspokajała ją: „Nie oddam cię, Marysiu, tylko już nie nudź więcej. Usiądź sobie spokojnie gdzieś w kąciку i siedź cicho. Uspokojona Marysia siadała sobie cichutko, a za chwilę dręczona niepokojem szła, aby znowu zapytać o to samo blokową. Z drugą umysłowo chorą w naszym bloku, było o wiele gorzej. Starsza kobieta, która cały czas była zupełnie zdrowa i normalna, nagle pewnego dnia zaczęła zdradzać objawy choroby umysłowej. Siadała sama przy stole w pokoju jadalnym i gędzi-

nami prowadziła z sobą długie rozmowy. Wymachiwała przy tym rękami, wreszcie zrywała się i ze strasznym krzykiem chciała gdzieś biec. Trzeba było ją trzymać, aby nie uciekła z bloku, gdyż natchmiaszt znalazła by się w rewirze. Pierwsza napotkana Niemka zaprowadziła by ją tam. Najgorzej było, gdy przychodziła noc. Chora widocznie bardzo bała się ciemności. Spała razem z nami w ogólnej sypialni. Jak tylko robiło się zupełnie ciemno, zrywała się z łóżka i ze strasznym krzykiem biegła po sypialni, wołając: „Już po mnie idą, dlatego jest tak ciemno, nie dajcie mnie, nie dajcie, zróbcie światło”. Blokowa stawiała ze swego łóżka, zabierała chorą do służbowego pokoju, gdzie zapalała świecę i uspakajała chorą cierpliwie i długo. Chora trzęsła się wciąż ze strachu i patrzyła nieprzytomnymi, obłąkanymi oczyma. Wreszcie uspokajała się, pozwalając położyć się na krzesłach, przykryć kocem—i zasypiała. Światło musiało palić się bez przerwy. Gdy tylko próbowaliśmy zgasić świecę, chora natchmiaszt zrywała się i zaczynało się wszystko od początku. Ten stan chorej trwał dwa tygodnie i cały ten czas bez przerwy blokowa spędzała z nią każdą noc w pokoju służbowym, żeby jej tylko nie oddać na rewir. Wreszcie chora przestała przyjmować jedzenie, przestała też wstawać z łóżka, wszystkie potrzeby fizjologiczne załatwiając na miejscu, aż po czterech dniach zmarła, nie odzyskawszy ani na moment przytomności.

Po pewnym czasie Niemcy zorientowali się, że Uckermarck nie daje pożądanego rezultatu, że to wszystko jest za mało. Wiedzieli, że kobiety w jakiś

dziwny, nieznany im sposób chronią się przed wywozem na Uckermark. Najpierw zachęcali, po tym straszili, grozili — nic nie pomogło. Procent kobiet wysyłanych na Uckermark był znikomy. Postanowiły więc władze obozu poradzić sobie w inny sposób. Co kilka dni robili tzw. „selekcję”, czyli przegląd. A więc jednego dnia była selekcja na blokach rewirowych, drugiego dnia — na blokach mieszkalnych. Wanda Urbańska, wiedząc naprzód o mającej się odbyć selekcji na blokach rewirowych, biegła do rewiru i tam odbywała „naradę” z dr Grabską, lub z czeską lekarką, Zdenką. Była bardzo zmartwiona, gdyż miała mnóstwo chorych kobiet w rewirze, ze swego bloku. Teraz ma być selekcja i wszystkie pójdą. Dr Grabska lub dr Zdenka poradziły jej, żeby na dzień selekcji zabrała chore z rewiru na blok. „Nie bój się — mówiły — już my to jakoś urządzimy. Dziś odeślemy ci chore na blok, a jutro po selekcji przyprorowadzisz je z powrotem.” Tak było. Lekarki na własne ryzyko, bez wiedzy lekarza niemieckiego, wypisywały ciężko chore z rewiru. Komisja, która przychodziła na selekcję, zastawała tylko łżej chore, których do komory gazowej nie przeznaczała. Te szybko wrócą do zdrowia i mogą pracować — mówili. Na drugi dzień zaczynała się znowu szalona panika na blokach mieszkalnych. Trzeba było z powrotem przetransportowywać chore do rewiru. A co zrobić z resztą? Co zrobić ze zdrowymi, tylko starszymi i niezdolnymi do pracy kobietami, które dotychczas udało się w cudowny sposób przechowywać w bloku? Ale Wanda Urbańska nigdy nie traciła

głowy. Miała tę wielką zaletę, że tylko w rzeczach drobnych i nieważnych była czasem roztrzępana i niedokładna, ale jeśli przyszło jakieś poważne niebezpieczeństwo, działała szybko i sprytnie. Przychodziły jej pomysły niewiadomo skąd i kiedy. Cudowne, bajeczne pomysły, które udają się tylko wariatom, albo ludziom urodzonym w czepku. Tym razem także Wanda Urbańska przeprowadziła kilka swoich szalonych pomysłów. Najpierw raniutko, zaraz po apelu zaprowadziła z powrotem wszystkie chore do rewiru. I tu znowu dr Grabska i dr Zdenka rozpoczęły swoją wspólną pomoc. Chore na nowo dostały „bet-karty” i znalazły się w rewirze. Dr Grabska i dr Zdenka, były to lekarki, na których pomoc zawsze można było liczyć, jeśli chodziło o sprawę słuszną i szlachetną. Nie patrzyły wówczas na nic i nie lękały się grożącego im niebezpieczeństwa, na które narażały się każdego dnia.

Wanda Urbańska, po załatwieniu wszystkich formalności w rewirze, wracała prędko na blok, aby ukryć gdzieś resztę swojej gromadki. Tę część kobiet, która była zdolna do „wdrapania” się na „trzeciak”, a z trzeciaka na strych przez odbite w suficie otwory, lokowała na strychu, każąc im cicho siedzieć. Ale były takie, które nie mogły dostać się na strych, gdyż miały chore nogi, lub tak jak pani Halina Krahelska, która nie miała jednej nogi w ogóle. Była zresztą tak słaba, że wciąż leżała w łóżku i nie miałyby nawet siły wstać. Takie kobiety trzeba było pochować w inne miejsca. Otóż w pokoju jadalnym stały szafy, ustawione wzdłuż ścian po dwóch stronach. Służyły one do przechowywania naczyń do

jedzenia. Było ich w naszym bloku 48. Szafy te były wąskie, ale wysokie, tak, że zupełnie dobrze mogła stanąć w każdej szafie jedna kobieta. Wanda Urbańska ulokowała w każdej szafie jedną kobietę. Tylko jedna szafa, stojąca najbliżej drzwi stała pusta, gdyż miała popsuty zamek i nie można jej było zamknąć. Ta popsuta szafa okazała się jakąś wielką Opatrznością boską i cudownym zrzędzeniem losu. Kiedy wszystkie kobiety były ukryte, jedne na strychach, inne w szafach, jeszcze inne, które miały chore nogi, zostały „wścielone” w łóżka i przykryte kocami tak, że nie można było nic poznać, zaczęła chodzić komisja selekcyjna. Oberynta Binz, komendant Suryn, adiutant Browning, dwóch lekarzy niemieckich, kilku SS-manów i kilka aufzjerek. Komisja kierowała kroki w stronę naszego bloku. Sądziłyśmy że komisja zatrzyma się przed blokiem, gdzie było wystawionych kilkadziesiąt kobiet „na pokaz”. Były wszystkie młode i zdrowe, którym nie groziła komora gazowa. Serce we mnie zamarło na chwilę, kiedy zobaczyłam, że komisja wchodzi do środka, celem przeprowadzenia kontroli na bloku, czy ktoś nie został ukryty. Popatrzyłam na Wandę Urbańską. Była spokojna. Zdawało mi się tylko, że w tym momencie odpłynęła z niej wszystka krew. Była biała jak papier, tylko na skroniach wystąpiły nieznacznie drobne żyłki, jak gdyby z ogromnego wysiłku i napięcia woli. Nie wiem jak to się stało, że zaczęłam się w duszy modlić gorąco, prędko, bezładnie, z taką samą wiarą i ufnością, jak kiedyś. Oczyma wyobraźni widziałam już Wandę Urbańską, prowadzoną przez hałastrę niemiecką i drogę, która

wiodła do lasu. Usłyszałam w tej chwili, jak Wanda melduje oberynce: „Blok 16-ty, kobiet wystawionych przed blokiem 89 reszta w pracy”.

— Urbański, czy na bloku nie ma nikogo? — zapytała Binz.

— Nie — padła krótka, zdecydowana odpowiedź.

W tej chwili Binz podniosła rękę i sięgnęła do drzwi pierwszej szafy, stojącej przy drzwiach. Otworzyła ją. Szafa była czysta, naczynia poustawiane przepisowo. Popatrzyła chwilę i zamknęła ją z powrotem. Kiedy zrobiła krok w kierunku następnej szafy, czułam jak serce podchodzi mi do gardła i przez ciało przebiega jakiś dziwny chłód. Zdawało mi się, że sztywnieją mi ręce i nogi. W tym momencie spojrzałam na Wandę i ona patrzyła na mnie. Wymieniłyśmy krótkie, przerażone spojrzenia. Ta chwila, w której Binz stała przed drugą szafą, wydała mi się wiekiem, w którym przeżyłam całe piekło. Binz nie otworzyła więcej żadnej szafy. Powiedziała tylko do reszty swego towarzystwa: „To jest wzorowy blok, jeden z najczystszych bloków w obozie. Właściwie tu kontroli nie trzeba przeprowadzać. Wejdziemy tylko jeszcze raz na moment do sypialni.” Przeszli wzdłuż cały pokój sypialny i wyszli z powrotem. Teraz zaczął się przegląd kobiet stojących przed blokiem. Komisja stawała na kilka kroków przed ustawionymi po pięć kobietami i każda „piątka” oddzielnie musiała przemaszzerować boso przed „wysoką komisją”. Następnie kobiety były od razu segregowane przez komisję. Te, którym kazano iść na prawo, miały dalej żyć. te, którym kazano iść na lewo, przeznaczone były

do komory gazowej. Jeśli chodzi o kobiety z naszego bloku, to nie zachodziła obawa o życie żadnej z nich. A jednak? Były między nimi dwie siostry Panakówne. Obie młode i zdrowe. Jedna z nich, po niedawno przebytej chorobie, była blada. I to właśnie nie podobało się komisji. Wystarczyło to jako powód do tego, aby kazać jej iść na lewą stronę, czyli do komory gazowej. Tam, na lewej stronie, zebrana już spora gromada kobiet z innych bloków, czekała swego przeznaczenia. Po chwili znalazła się wśród nich Fela Panakówna. Siostra jej patrzyła przerażonymi oczyma. Wanda Urbańska już była przy niej. — Niech pani się nie martwi, zaraz ją stamtąd wyciągniemy — powiedziała. Poszliśmy w stronę grupy kobiet, przeznaczonych na śmierć. Wanda miała o coś zagadnąć aufzjerkę, pilnującą kobiety, aby odwrócić jej uwagę, a my tymczasem miałyśmy uprowadzić kogo się da. Eksperyment udał się doskonale. Została wyprowadzona stamtąd nie tylko Fela Panakówna, ale kilkanaście innych kobiet, zupełnie nam nieznanych, z innych bloków.

Selekcja dobiegała końca. Został jeszcze blok 21, gdzie blokową była wspomniana już raz jakaś Rozmiarek. Nosiła tak samo, jak my na ramieniu literę „P”, ale trudno było uwierzyć, że to jest naprawdę Polka. Długo zastanawiałam się, czy powinnam tu pisać o tej sprawie, ale doszłam do wniosku, że tak, bezwzględnie, że nawet muszę. Byłoby to z mojej strony karygodne, gdybym miała sprawę tę pominąć i ukrywać. Dlatego z całą świadomością rzucaam oskarżenie po to, aby ta osoba, jeśli zechce

kiedykolwiek wrócić do Polski, znalazła się na właściwym miejscu. Rozmiar ma za sobą bogatą przeszłość kata obozowego. Wyniesiona przez władze niemieckie na stanowisko blokowej, starała się usilnie zaskarbić sobie łaski i zaufanie tych władz. Szła do tego drogą, jaka najbardziej odpowiadała jej umysłowości i charakterowi. Znęcała się nad kobietami, zgromadzonymi na jej bloku w sposób, który, jeśli nie przewyższał, to dorównywał okrucieństwu niemieckiemu. Kije grubości ręki w przegubie łamała na nieszczęśliwych starych kobietach, które nie mogły dość szybko iść, lub któraś za głośno rozmawiała z drugą. Za najdrobniejsze głupstwo na bloku, za coś, co nie przypadło jej do gustu, samowolnie, na własną rękę zarządzała kary, jak np.: wyrzucenie wszystkich z bloku i stójka przed blokiem dwie, trzy godziny. Krążyła przy tym dookoła stojących ofiar, jak sęp i od czasu do czasu rzucała uwagi: „Milczeć tam, jak nie zamkniecie pysków, to będziecie stały drugie dwie godziny”. Syciła się tak swoją „władzą”, patrząc swoimi kaprawymi ślepiami na swoją wspaniałą „wielkość” i na nicość tych kobiet, z którymi ona, „pani blokowa”, mogła robić, co jej się podoba. A Niemcy chodzili i uśmiechali się z zadowoleniem, patrząc złośliwie na literę „P”, przyszytą do jej ramienia.

Teraz, podczas odbywającej się selekcji na jej bloku, wskazywała palcem te osoby, które uważała za słabe. Pomagała komisji wybierać. Mówiła: „Befehl ist Befehl”. Popychała przy tym przerażone kobiety i tłukła niemiłosiernie. Maria Godulska, 55-cio letnia kobieta, słaba i schorowana, którą udało się

wyciągnąć z grupy kobiet, przeznaczonych do komory gazowej, dwa tygodnie nosiła siniaki na twarzy. Były to ślady opiekuńczej ręki Rozmiarerek. Maria Godulska była na jej bloku.

Po ukończonej selekcji blok nasz „ożywał”. Ze wszystkich kryjówek zaczęły „wypełzać” pochowane kobiety. Janina Peretiatkowicz, Maria Berzowska, Halina Krahelska, Antonina Kijko, Helena Lehmann, Józefa Grelowska, Helena Kozanowska, Maria Szymańska, Maria Dzierżyńska, Józefa Konarzewska — oto kilka nazwisk kobiet uratowanych przez Wandę Urbańską od komory gazowej. Oczywiście, kobiet takich było o wiele, wiele więcej. Wymieniłam tylko dla przykładu kilka nazwisk.

Selekcje takie odbywały się raz na tydzień, lub co 10 dni. Zawsze była ta sama praca i ten sam lęk.

W obozie był już teraz zupełny bałagan. Był to początek roku 1945. Głód stawał się też coraz większy. Paczki do obozu już nie przychodziły, ziemniaków na obiad nie widziałyśmy od kilku miesięcy, a ostatnio też zaczęło coś szwankować wydawanie chleba. Zdarzało się już od czasu do czasu, że któregoś dnia chleba zabrakło, obiecali wydać na drugi dzień podwójne porcje, a tu tymczasem dzisiaj chciało się tak bardzo jeść. Głód wyrównywałyśmy pocieszeniem, że przecież tak zawsze być nie może. Zwłaszcza, że wyczuwało się klęskę, jaka lada moment spadnie na Niemcy. Było coś niepokojącego w atmosferze, jaka nas otaczała. W obojętności, z jaką Niemcy przechodzili teraz obok wszystkiego, w lekceważeniu, z jakim machali na wszystko ręką, kryła się dla nas jakaś wielka, niezgłębiona radość.

Czułyśmy, że się coś święci i to dobrego dla nas. Wychodziłyśmy na ulicę obozową, podnosiłyśmy głowy w górę i wchłaniałyśmy w siebie z rozkoszą ten cudowny niepokój, czający się w każdym załamaniu słońca, w każdej małej chmurce, niepokój nadchodzących Nowych Dni, niosących nam wielkie zmiany. Nie czułyśmy nawet głodu, kiedy mogłyśmy nasycić oczy widokiem panny Binz, idącej wolno ulicą obozową. Nie miała już ochoty bić ani kopać. Szła ze spuszczonym łbem, rozmyślając nad czymś głęboko. Może już w myślach upatrywała sobie gałąź czy latarnię, na której będzie wisiała i teraz robiła sobie cicho rachunek sumienia?

Niemcy jednak nie prędko rezygnowali ze swych zbrodniczych poczynań. Mimo, że wszystko już waliło im się na kark, zdążyli jeszcze 4 stycznia 1945 r. zabrać na rozstrzelanie 5 kobiet z naszego bloku. Były to: Halina Wolfahrt, Irena Sokołowska, Zofia Lipińska, Jadwiga Wilgocka. Nazwiska piątej nie mogę sobie zupełnie przypomnieć. Powiedziano im, że jadą do fabryki i jeszcze tego samego wieczoru wykonali wyrok. Ubrania ich wróciły do obozu.

W kilka dni później zażądały władze obozu Lucynę Cesiul, o której wspominałam na początku, a która była na naszym bloku. Lucyna Cesiul była cztery razy brana jako „królik” na operacje doświadczałne i cztery razy tej operacji uniknęła. Za każdym razem coś stało na przeszkodzie. Dwa razy miała temperaturę, gdyż była przeziębiona. Odstawiono ją więc. Dostała „odroczenie” aż do czasu następnych operacji. Kiedy wzięto ją po raz trzeci (po upływie kilku tygodni), znalazła się w gru-

pie ośmiu innych kobiet. Przyszedł lekarz, odliczył pierwszych sześć, a dwie miały odejść. Będą operowane następnym razem. Jedną z tych dwu, które miały odejść — była Lucyna Cesiul. Po upływie dłuższego czasu, została wezwana do rewiru na operację po raz czwarty. I tym razem uniknęła tego, gdyż na nodze miała uformowany duży wrzód. A właśnie nogi miała mieć operowane. Kazano jej znowu iść na blok. Zostawiono ją w spokoju i więcej nie wzywano jej do rewiru. Teraz w r. 1945 przypomnieli sobie o niej i zażądali ją do biura. Wiedziałyśmy, że tym razem nie będzie operowana, tylko pójdzie prosto do lasu. Blokowa nasza, której przyniesiono kartkę z biura z nazwiskiem Lucyny Cesiul, od razu poradziła jej, żeby „znikła”. Sama zaś poszła do biura i zameldowała, że Lucyny Cesiul nie ma na bloku i nie wiadomo, co się z nią stało. Lucyna Cesiul tymczasem, przez dwa miesiące, jak gonione zwierzę ukrywała się. W nocy spała na innych blokach, a w dzień ukrywała się w lochu pod blokiem, który kiedyś podmyła woda podczas strasznej ulewy. Kiedy ją zobaczyłam po raz pierwszy po wyjściu z ukrycia, nie mogłam jej poznać. Patrzyłam długo na zapadnięte policzki, podkrążone oczy i nie mogłam powiedzieć słowa. Lucyna Cesiul powiedziała cicho: „Niech już będzie co chce, dłużej tak nie mogę. To nie na ludzkie nerwy. Dziś wracam na blok”. Wróciła. Miała tylko zmieniony numer i nie nazywała się Lucyna Cesiul. Więcej nie pytano o nią i nie wzywano jej.

Był początek kwietnia 1945 r. Po obozie biegła radosna wieść, że szwedzki Czerwony Krzyż wy-

wozi wszystkich więźniów z obozów koncentracyjnych w Niemczech, do Szwecji. Nie wierzyliśmy w to. Uważaliśmy to za jedną z tysięcy plotek; jakie wiecznie krążyły po obozie. Tym razem jednak, plotka miała się okazać prawdziwą. Bajka o szwedzkim Czerwonym Krzyżu powtarzała się coraz częściej, a my zaczęliśmy już podejrzewać, że jest to jakiś nowy podstęp niemiecki. Po nich można było przecież spodziewać się wszystkiego. Kiedy jednak do obozu przyjechały pierwsze szwedzkie samochody, wyszliśmy tłumnie z bloków, aby zobaczyć jak wygląda ta cudowna rzeczywistość. Biegliśmy szybko i zatrzymaaliśmy się tuż przy samochodach. Rzeczywiście. Autentyczne i prawdziwe stoją olbrzymie samochody sanitarne do przewożenia chorych, (gdyż akcję wywożenia zaczęli Szwedzi od zabierania chorych), ze znakami szwedzkimi. Z jednego samochodu wychyla się do nas roześmiana, sympatyczna twarz, która mówi po francusku: „wszystkie was stąd zabierzemy”. Ręka wzniesiona do góry długo macha w naszą stronę serdecznie i przyjaźnie. Widziałyśmy wściekłość komendanta i SS-manów, którzy widocznie dostali zakaz bicia nas przy gościach szwedzkich. Dochodzili do nas i tylko delikatnie upominali nas, abyśmy nie tłoczyły się za blisko samochodów i nie utrudniały akcji wynoszenia chorych z rewiru.

Wracałyśmy na blok, pełne wrażeń i głów ciężkich od nawału myśli. Nie mogłyśmy spać tej nocy. Każda miała przed oczyma wielki szwedzki samochód, którym przyjeżdżała Wolność. Jezus Maria! Czy to aby możliwe? Wolność, za którą człowiek

tęsknił tak strasznie przez tyle długich lat, Wolność, która dla nas stała się już tylko jakimś symbolem, jakimś utopijnym marzeniem, — dziś, tak sobie po prostu, zwyczajnie zajeżdża szwedzkim samochodem, cudowna, beztroska, wspaniała, pachnąca wiosną i świeżym sianem, kwiatami i winem. Cudowna, słoneczna, szczęśliwa Wolność.

25 kwietnia 1945 r. cały nasz blok, na czele z blokową, Wandą Urbańską wyruszał z obozu na maleńką stację „Ravensbrück”. Tam musieliśmy czekać kilka godzin na podstawienie wagonów, którymi miałyśmy jechać do Szwecji. Cztery lata wstecz przyjechaliśmy tu, na tę maleńką stację Ravensbrück — dziś opuszczaliśmy to „gościnne” miejsce. Jaka różnica wrażeń, odczuć i doznań, była wówczas — i dziś. Kilka lat temu maleńka, zapomniana stacyjka Ravensbrück nie stanowiła dla nas żadnej treści, była jakaś nieważna i bezprzedmiotowa. Ot, jakieś Ravensbrück, rzucone na odludziu, jakaś głucha, bezludna wieś. Maleńkie Ravensbrück, nie znajdujące dla siebie miejsca na mapie. A dziś? Ta stacja stała się dla nas jakimś kolosem, gigantycznych rozmiarów, drogą krzyżową, przez którą nas wlokło barbarzyństwo niemieckie przez długie lata. Drogą krzyżową, której pierwszą i ostatnią stacją był Ravensbrück. Każdy kamień tu był zboczony krwią męczeńską, każde drzewo szumiało skargą niewinnie zabitych. Ravensbrück to wielka stacja, której nie zmieści żadna mapa, mieszczą ją tylko nasze serca, w których jak ogniem wypalona została na zawsze pamięć o maleńkiej, zapomnianej stacyjce Ravensbrück!



5877/

71